Cena 5 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 28 października 1945 r. | Nr 48

MIECZYSŁAW WIONCZEK

Rozumna przyjaźń

W ATMOSFERZE PLOTKI

Na niewątpliwy brak publicystyki społeczno-politycznej w Polsce zwrócił uwagę nie tylko Jan Kott w jednym z numerów „Odrodzenia". Fakt ten jest oczywisty dla czytelnika prasy codziennej i periodycznej, ukazującej się w Polsce w obfitości, jakiej zazdrościć mógłby nam niejeden kraj zachodnio-europejski. Kiedy biorę do ręki prasę czeską, francuską czy belgijską, nie mówiąc już o prasie dzisiejszych Niemiec, uderza tam niewątpliwa oszczędność papieru i słowa w porównaniu z codziennym czy cotygodniowym plonem prasy rodzimej. Niestety, rozmiary naszej prasy nie pozostają w odpowiednim stosunku do wagi poruszanych na jej łamach problemów. Tak zwane zagadnienia kluczowe mniej w niej zajmują miejsca niż zajmować powinny i wina tu raczej ludzi pióra niż rzeczywistości, w której żyjemy.

Brak pewnych zagadnień na łamach prasy sprawia spustoszenia w tak zwanej opinii publicznej, która widzi w tym tendencje, których w rzeczywistości nie ma. Zagadnienia, o których milczy się, bądź mówi używając wytartych haseł i schematów, nie przestają zajmować umysłów ludzkich. Nie znajdując na nie odpowiedzi w prasie, ludzie przenoszą dyskusje i spekulacje na te tematy bądź do stolików kawiarnianych, bądź do mieszkań prywatnych, bądź wreszcie do — magla.

Jest faktem oczywistym, że ani atmosfera kawiarni, ani sypialni, ani magli nie sprzyja formowaniu się zdrowej opinii publicznej, zwłaszcza że domorośli krytycy i kawiarniani politycy mają zawsze w zanadrzu argument, że oni właśnie wyrażają to, czego oficjalnie rzekomo mówić nie wolno. Wszelką dyskusję zamyka tedy zawsze apodyktyczna uwaga — „a jednak prasa, wasza prasa o tych sprawach nie pisze". Ci kawiarniani politycy nie zawsze muszą być świadomymi wrogami sił, które pragną ukształtować naszą niepodległość. Bardzo często stanowisko ich wynika z braku perspektywy politycznej i z oporów, jakie odziedziczyli po tamtych międzywojennych latach. Brak pewnych problemów na łamach prasy utrzymuje wąskość ich horyzontów myślowych, hoduje dawne opory i pozwala domyślać się istnienia jakichś duchów i ciemnych sił, które spoza parawanu kręcą maszynerią, usprawiedliwiając tym samym życie wszechobecnej plotki.

Ludzie chętniej wierzą w duchy, niż mogłoby się wydawać. A nic mniej nie sprzyja rozwojowi stosunków międzyludzkich i międzynarodowych, niż wiara w duchy i wszechobecna plotka. Szczególnie jaskrawo oba te zjawiska towarzyszą problemowi centralnemu dla naszego państwa — problemowi stosunków polsko-radzieckich.

Dalszy ciąg artykułu będzie właśnie próbą dyskusji z wiarą w duchy i z plotką, wyrządzającymi niesłychane szkody naszemu społeczeństwu, którego znaczna część nie potrafiła zmienić schematów myślowych z czasów przedwrześniowych, mimo że sześć lat wojny było okresem dość długim, aby zmusić ludzi do myślenia. Postaramy się przejść kolejno wszystkie tak zwane drażliwe problemy, aby wykazać ich istotną złudność, podtrzymywaną plotką wbrew naszemu interesowi państwowemu, społecznemu i narodowemu.

WYZWOLENIE CZY „WYZWOLENIE"

Wyzwolenie od okupacji niemieckiej, najkrwawszej w dziejach, przyszło od wschodu. Przyszło stamtąd, bo przyjść musiało, obojętnie czy chciał czy nie chciał tego rząd londyński i pewne warstwy naszego społeczeństwa. Przynieśli je na bagnetach żołnierze radzieccy i żołnierze polscy, sformowani w Rosji spośród emigrantów z roku 1941, jeńców z kampanii wrześniowej i Polaków wywiezionych z ziem wschodnich w okresie przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej. Cóż to za kategorie ludzi ci, którzy z bronią w ręku w polskich mundurach przekroczyli w lecie 1944 Bug wraz z żołnierzami radzieckimi? Pierwsi, to ludzie znani już z czasów przedwrześniowych ze swej nieubłaganej wrogości do faszyzmu niemieckiego i z przekonań lewicowych, którzy o tyle okazali się lepszymi politykami od innych, że zdawali sobie już przed wojną sprawę, iż Związek Radziecki weźmie udział w drugiej wojnie światowej i że siła militarna i ideologiczna tego państwa będzie elementem rozstrzygającym o jej wyniku. Drudzy to członkowie armii polskiej, formacji, które w dniu 17 września 1939 znalazły się za Bugiem i częściowo stawiły opór wkraczającym przez Zbrucz wojskom radzieckim. Trzecia grupa to polska ludność, deportowana z Ukrainy i Białorusi Zachodniej w głąb Rosji w 1940—41.

Wszystko, co działo się między owym wrześniem a dniem podpisania przez Sikorskiego w Moskwie porozumienia polsko-radzieckiego, było nieszczęsnym epilogiem rozwoju stosunków polsko-sowieckich w latach międzywojennych pod ich koniec, w okresie pomonachijskim, związanym ściśle z ogólną sytuacją międzynarodową. Nieszczęsnym, jak się okazało w chwili wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, dla stron obu, gdy sfaszyzowani nacjonaliści ukraińscy w ciągu jednego dnia przeszli na stronę faszystów niemieckich.

Tutaj trzeba na chwilę powrócić do okresu między Monachium a dniem wybuchu drugiej wojny światowej. We wrześniu 1938 bardzo nawet krótkowzroczni mężowie stanu wiedzieli, że nowy konflikt światowy jest bliski. W przeciwieństwie jednak do sytuacji w dniach Serajewa, gdy istniał wyraźny podział na dwa obozy, narody zagrożone teraz przez agresję hitlerowską nie stanowiły niestety jednego obozu i wszystkie rozgrywki polityczne wśród przyszłych kombatantów miały za główny cel odwrócenie kierunku agresji niemieckiej od siebie.

Przypuszczalny termin wybuchu wojny był znany. Niewiadomy był tylko szczegółowy plan strategiczny Hitlera, nie wiadomo było czy uderzy na zachód czy na wschód, na linię Maginota czy na linię Dniepru. Tylko w świetle gry politycznej mającej na celu zwekslowanie kierunku uderzenia Hitlera, wolno patrzeć na gwarancje angielskie dla Polski, od których konflikt **musiał** się zacząć, na pertraktacje brytyjsko-sowieckie w Moskwie, gdzie przedstawiciel Anglii nie działał bez „arrières pensées", wreszcie na niemiecko-radziecki pakt o nieagresji. Kapitalistyczny Zachód usiłował upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: zlikwidować niebezpiecznego konkurenta w środkowej Europie i unicestwić jego rękami niebezpieczeństwo społeczne, reprezentowane przez socjalistyczny Związek Radziecki i znajdujące odbicie w lewicowych kołach społeczeństw zachodnio-europejskich. Rozgrywkę polityczną po Monachium wygrał w roku 1939 Związek Radziecki. Pierwsze uderzenie hitlerowskie po wrześniowej uwerturze nad Wisłą poszło na Zachód.

W ramach tej gry niedwuznacznie wroga Związkowi Radzieckiemu polityka zagraniczna Polski stała się bezpośrednią przyczyną wydarzeń między 17 września a dniem przyjazdu Sikorskiego do Moskwy. I do tego kompleksu sprowadzają się bolesne dla społeczeństwa polskiego zarządzenia: internowanie armii polskich zza Bugu i deportowanie pewnej części Polaków za Bugiem. Antyradziecka propaganda do dzisiaj jeszcze korzysta z tych posunięć z roku 1940 i nie bez efektów generał Anders straszy do dziś swoich żołnierzy perspektywą Syberii.

Porozumienie Sikorskiego ze Stalinem polegało na świadomości, że posunięcia obu stron są do naprawienia. Związek Radziecki wyrażając zgodę na formowanie się oddziałów polskich w Rosji, udzielił moralnego kredytu polskim kołom lewicowo-demokratycznym, przebywającym tam na emigracji. Ani generał Sikorski ani Związek Patriotów Polskich w Moskwie nie mieli łatwej pracy wskutek knowań starych środowisk reakcyjnych. Ostatecznie udzielony kredyt został nadużyty przez generała Andersa i towarzyszy. Na porozumieniu polsko-radzieckim powstała nowa rysa.

Pamiętać bowiem należy, że w chwili kiedy Armia Czerwona znajdowała się w ciężkiej sytuacji, kiedy wojska niemieckie stały nad Wołgą i szły na Kaukaz, żołnierze z armii Andersa załadowywali się właśnie na okręty, które miały zawieźć ich do Persji. Cóżby było, gdyby wszyscy Polacy ze Związku Radzieckiego poszli śladami owego generała? Cóżby było gdyby jego wyliczenia, pokrywające się ze spekulacjami sztabu niemieckiego, okazały się słuszne?

Wyzwolenie przyszło od wschodu. Bo na zachód, trzeba by, w najpomyślniejszym razie, czekać jeszcze kilka lat. W ciągu pięciu lat wojny straciliśmy siedem milionów obywateli, przy czym tempo strat zwiększało się z zastraszającą szybkością. W roku 1950 straty nasze wynosiłyby co najmniej piętnaście milionów. Gdyby za pięć lat przyszli od Berlina Amerykanie i Anglicy, nie bardzo byłoby po co. Związkowi Radzieckiemu zawdzięczamy nie tylko wyzwolenie, ale i ocalenie kilku milionów dalszych ofiar oświęcimskiego komina krematoryjnego. Zawdzięczamy — wielu malkontentów również — zwykłe biologiczne istnienie Armii Czerwonej.

Kiedy dziś rozglądamy się wokoło siebie, kiedy ustalamy listy strat, kiedy szukamy zdolnych ludzi do pracy nad odbudową, widzimy jak niewiele brakowało, aby zamierzony przez Niemców śmiertelny cios, wyniszczenie uświadomionych społecznie, narodowo i państwowo członków naszego narodu, udał się całkowicie. Wygraną w wyścigu narodu ze śmiercią zawdzięczamy Związkowi Radzieckiemu.

INTEGRACJA UKRAIŃSKIEGO PROBLEMU

Granice wschodnie Polski z czasów traktatu ryskiego nie wiele miały wspólnego z głoszoną przez Wilsona zasadą granic etnograficznych i samostanowieniem narodów. Każdy „Rocznik Statystyczny" sprzed 1939 roku pouczał, że za Bugiem i nad Niemnem Polacy stanowią mniejszość.

Przez dwadzieścia lat naszej drugiej niepodległości uprawialiśmy wobec mniejszości narodowych na ziemiach wschodnich politykę, którą Niemcy nazywają „mit Peitsche und Zucker". Nawet pobłażliwy historyk Europy środkowej nie znajdzie tu konsekwentnej linii politycznej. Stosowano na zmianę pacyfikację w styczniu, kokieterię w lipcu. Rezultaty zebrali polscy żołnierze mordowani przez chłopów na ukraińskich ziemiach we wrześniu 1939 roku.

Proces budzenia się narodowości jest nie do zahamowania. Mimo nazywania Ukraińców Rusinami i szopek ze zruszczoną szlachtą zagrodową, problem ukraiński miał temperaturę coraz wyższą. W roku 1918 wyższą niż za czasów Andrzeja Potockiego, w dniach klęski wrześniowej wyższą niż za czasów Petlury. Co gorsza, choć wina naszej administracji przedwojennej jest wielka, podstawy zagadnienia leżą głębiej. Zarówno pod Kijowem i Żytomierzem, pod Kowlem i Tarnopolem, jak i pod Munkaczewem i Użhorodem żyli i żyją ludzie, będący członkami jednego narodu. Od XVI do XVIII wieku mogliśmy chłopa tych ziem polonizować. Skoro nie dokonano tego przez trzysta lat, trzeba teraz przyjąć wynikające z bilansu saldo.

Czechosłowacja rozstała się niedawno z Zakarpacką Ukrainą z uczuciem ulgi. Znaczna część naszego społeczeństwa traktuje granicę na Bugu jako kamień obrazy. A jednak zagadnienia ukraińskiego nie tylko nie umieliśmy opanować, ale wszystko przemawia za tym, że i w przyszłości byłoby dla nas nieznośnym ciężarem.

Istnienie narodu ukraińskiego w ramach Związku Socjalistycznych Republik Rad jest faktem dokonanym i niezmiennym. Niewątpliwie trafnie odpowiedział Jerzy Borejsza pewnemu polskiemu politykowi, z którym rozmawiał niedawno w Rumunii, że zrezygnowaliśmy z ziem wschodnich w pełni władz umysłowych i w poczuciu odpowiedzialności historycznej. Lwów i Wilno były — prawda — miastami najściślej związanymi z Polską i jej kulturą, miastami o większości polskiej, o polskiej tradycji historycznej, o specyficznej kresowo-polskiej atmosferze duchowej. Ale były wyspami w etnicznym morzu.

ZBIEŻNOŚĆ PRZYPADKOWA

Są okresy, w których dojrzewające długo zmiany gospodarczo-społeczne ulegają przyspieszeniu. Splątane węzły napiętych procesów mogą pękać w politycznych konfliktach i wojnach, które same stanowią wynik dojrzałych przesileń i przyśpieszają ich przebieg. Światowy układ polityczny i społeczno-gospodarczy z 1914 r. zmienił się nie do poznania w dniach Wersalu. Układ z dni Monachium zmienił się całkowicie w dniach Poczdamu. W Monachium zasiadali przy stole obrad przedstawiciele Anglii, Francji, Włoch i Niemiec. W Poczdamie — Anglii, Ameryki i Związku Radzieckiego. W ciągu siedmiu lat w gronie, w którym decyduje się o losach Europy, nie zmienił się tylko jeden partner — Wielka Brytania. A i w niej zmieniło się wiele

JULIAN PRZYBOŚ

NA WAWEL

Wieża błysła, blisko
jakby już z niej nadało nas radio.
Z lęku, jak z dołu po pocisku,
piętrząca się radość:
ocalały Kraków!

W miarę naszych kroków
dom po domu wznosi się na piramidę trwania:
idę ulicą jakbym pomnik odsłaniał!

Pod czołgiem, podkową apokaliptycznego konia,
trup Krzyżaka bez zbroi, z pięścią pancerną;
od stóp Witolda do stóp każdego przechodnia
padł, sczerniał.
Zogromniałe przez wieki dwa miecze,
skrzyżowane na niebie, tną świetliście powietrze.
Złote kule trasujące zaświecają pierwszą gwiazdę.

Błysk i huk,
gromowy zamach.
Kanonada — jak góra nad miastem:
Wawel stoi na huku armat.

Kraków, 22 stycznia 1945

Z POPIOŁÓW

Wydobywam was jak z przepaści słuchu,
słyszę gruzy:
kształt wszystkich w jedną chwilę stłoczonych wybu-
nie domy — lecz bomb zatrzymane rozrywy. [chów,

Rozgwar i huk stuleci
skupione w chwili: miasto: gdy runęło na żywych,
zmieściliście je w swojej śmierci.

W spalonej bramie
nadziemna twarz zasypanego w piwnicy:
ciemność.

Na powalonych kolumnach
klon obwiązuje poranione ramię
pierwszym wiosennym liściem;
z popiołów, nade mną
wstaje drzewo: sztandar żywiołu
wasz, niczyj.

Nad nim zorza wieczorna: ostygła z łun pożarów
[łuna.

Warszawa, marzec 1945

NAD MORZE

Samolotem jakbym przestrzeń igłą przekłuł,
wiatr nawlókłszy na śmigło!

Znikły obłok — jak pamiętnik lotu w ręku;
gdy lądując, wiążę linie
niezliczonych widnokręgów,
uniesie je i rozwinie
morze zwijające fale.

Klucz sklepienia Panny Marii:
obłok:
niesie próżnię dalej,
samo wnętrze krąży wkoło
spadłych łuków i obramień
mewą od ścian niezawisłą.

A wzmaga się ziemi napór
i już o Gdańsk przypływ lądu bije Wisłą
zamarzając żelaznymi dźwigarami
na port.

Warszawa — Gdańsk 1945

od Chamberlaina do Attlee. Z partnerem tym zawarliśmy w roku 1939 pakt wzajemnej pomocy. Pakt został dotrzymany obustronnie, mimo że zbieżność interesów Polski i Wielkiej Brytanii była raczej okazjonalna, bo granice Imperium Brytyjskiego nigdy nie leżały nad Wisłą. Zawarcie paktu wzajemnej pomocy w roku 1939 wynikało z gry sił w Europie pomonachijskiej. Oczywiste było już wówczas, że wojna wybuchnie, — prawdopodobne, że o Gdańsk. Równocześnie wykładnikiem istotnego zainteresowania Wielkiej Brytanii sprawą polską jest, że nie otrzymaliśmy pożyczki angielskiej. Ostrożny kapitał angielski zgłosił désintéressment.

ZBIEŻNOŚĆ NIEUNIKNIONA

Odra jest rzeką historycznie i gospodarczo związaną z naszym istnieniem państwowym. To jest nasz aspekt tej rzeki, która dla nas symbolizuje program. W innym aspekcie widzą Odrę Związek Radziecki i Wielka Brytania. Dla Związku Radzieckiego Odra jest najdalej na Zachód posuniętą granicą między narodami słowiańskimi a Niemcami. Przyłączenie ziem zachodnich do Polski jest odsunięciem niebezpieczeństwa niemieckiego od Kijowa, Leningradu i Moskwy o dalszych 200 km. Jest redukcją linii ataku do najkrótszego odcinka. Związek Radziecki bardziej realistycznie ocenia sytuację europejską niż inne państwa. Poniósłszy największe straty w drugiej wojnie światowej (wiele milionów zabitych i połowa terytorium Rosji Europejskiej zrównana niemal z ziemią) ma wiele powodów, aby wystrzegać się ślamazarnego i obezwładniającego pacyfizmu. Stąd całkowite poparcie Związku Radzieckiego dla naszego programu terytorialnego na Zachodzie.

Nie jest tajemnicą, że na konferencji w Poczdamie popierał go stanowczo generalissimus Stalin. Nie jest też tajemnicą, że sprzeciwiał się mu gorąco premier Churchill. W myśl jego argumentów, przyłączenie Nadodrza do Polski zmieni radykalnie strukturę gospodarczą Niemiec, które i tak są potwornie zniszczone. W gruncie chodziło o strukturalne interesy Brytyjskiego Imperium. Odra uchodzi do Bałtyku, w zachodniej części tego basenu. Strefa ta, wraz z magistralą rzeczną, przecinającą kontynent w głąb do Sudetów, znajduje się w polu widzenia Anglii — także ze stanowiska gospodarczego. Nie najmniej ważnym elementem jest, iż Odra stanowi drogę transportową dla dolno- i górnośląskiego węgla, który na rynkach europejskich może konkurować z węglem walijskim. Przy niższych kosztach wydobycia i tańszym transporcie jest nasz węgiel tańszy niż angielski.

Uzyskaliśmy ziemie zachodnie za poparciem Stalina, któremu sekundował prezydent Truman, gdyż Stany Zjednoczone nie są bezpośrednio zainteresowane w sprawach gospodarczych tej części Europy. Powrotu ziem zachodnich do Polski nie zawdzięczamy temu tylko, że Wrocław został założony przez Polaków i że na Opolszczyźnie mówi się do dzisiaj po polsku, ale faktowi, że między interesami Związku Radzieckiego i interesami Polski istnieje zbieżność wynikająca z nowego układu sił gospodarczo-politycznych. Argumenty etniczne, kulturalne, historyczne spełniły funkcję pomocniczą, ale nie decydowały.

Zbieżność ta idzie dalej i ogarnia całość problemu powojennych Niemiec. Także i tu oba państwa żywią inne poglądy niż Wielka Brytania. W czasach Wersalu istniały dwie koncepcje polityki wobec Niemiec. Stara francuska, która chciała rozbić Niemcy na części, i klasyczna angielska polityka „balance of power" w Europie.

Wiemy z pamiętników ludzi, którzy brali udział w tworzeniu Wersalu, że pertraktacje między zwycięzcami dalekie były od pogodnej rozmowy podczas lunchu. Ostatecznie mimo pewnych, połowicznych zresztą ustępstw na rzecz koncepcji francuskiej (Zagłębie Saary, sprawa Nadrenii), zwyciężyła koncepcja angielska, ponieważ pokonane Niemcy były mniej niebezpiecznym partnerem dla Anglii niż współzwycięska Francja. Wielka Brytania do dziś dnia nie zrezygnowała ze swej uświęconej doktryny politycznej, popartej interesami gospodarczymi.

Przed paru dniami dostałem z Paryża najnowszą prasę francuską. Są w niej artykuły o problemach zachodnio-europejskich. Nadrenii i Saarze. Przypominają one żywo odezwę generała de Beauchesne na murach francuskiej strefy okupacyjnej Berlina: „Francja nie zapomni pomordowanych na jej ziemi i w niemieckich obozach koncentracyjnych setek tysięcy obywateli francuskich". Francja zna Niemców lepiej niż Anglicy i nie chce nowej „balance of power". Lewicowi publicyści francuscy piszą dziś artykuły podobne w treści do tych, które w czasach Wersalu pisywał Jakub Bainville w „Action Française". Bo Bainville, jak najbardziej reakcyjny w programie społecznym, był wrogiem Niemiec. Po prostu oceniał należycie możliwości Niemców i wszystkie jego proroctwa z czasów Wersalu spełniły się co do joty w roku 1939. Inna sprawa, że uczniowie Bainville'a szybko zrezygnowali w r. 1940 ze swej doktryny politycznej. Albowiem łatwiej rozstać się z doktryną rewanżu niż z uprzywilejowaniem klasowym.

Byłem w Berlinie przed paru tygodniami, czytuję prasę niemiecką z wszystkich okupowanych stref Niemiec. I mam wątpliwości co do polityki anglo-amerykańskiej wobec narodu niemieckiego. Daje im także wyraz w londyńskim „Jutrze Polski" K. Ziemski, który spędził kilka miesięcy w zachodnich Niemczech. „Spośród czterech wielkich sprzymierzonych, odpowiedzialnych bezpośrednio za losy okupowanych Niemiec, tylko Rosja wydaje się mieć jakiś jasny i konkretny plan działania". A dalej: „Na zachodzie Niemiec doszli do głosu politycy i działacze, co do których przeszłości można mieć zastrzeżenia — co najmniej zastrzeżenia". Na koniec stwierdzenie: „Błędy administracji okupacyjnej Niemiec jeszcze dadzą się naprawić i na razie nie pozostawiają trwałych skutków. Z czasem jednak sprzymierzeni, o ile nie wykształcą należytej metody swego działania w Niemczech, mogą stanąć przed zbiorowością, żądną odwetu, z ukrytymi centrami dyspozycyjnymi rewanżu, z narodem kilkudziesięciomilionowym, który akceptował Hitlera bez sprzeciwu, ale zechce na pewno targać wędzidłem okupacji. Wojna wygrana może zamienić się w przegrany pokój".

Pozornie tylko odeszliśmy od głównego tematu rozważań. Linia polityczna Związku Radzieckiego wobec Niemców jest jasna i pokrywa się z naszą linią polityczną. Związek Radziecki nie ma zaufania do pseudodemokratów niemieckich i my go nie mamy. Związek Radziecki zrobi wszystko, aby zapobiec odrodzeniu się potęgi niemieckiej. Dla nas jest to zagadnienie życia lub śmierci. Żaden demokrata niemiecki z tzw. centrum, żaden członek SDP nie pogodzi się nigdy z powrotem Wrocławia i Szczecina do Polski. Lecz „Drang nach Osten" godzi zarówno w nas, jak i w Rosję. Tu zbieżność jest fundamentalna. Nie jest przypadkiem, że na posiedzeniu Głównej Międzyalianckiej Rady Okupacyjnej w Berlinie plan wysiedlania Niemców z Nadodrza przedstawił marszałek Żukow. Na usunięciu Niemców z ziem zachodnich Polski zależy zarówno nam jak i Związkowi.

O SUWERENNOŚCI

Niewątpliwie najbardziej drażliwym punktem dla opinii publicznej w Polsce jest sprawa suwerenności państwowej i gospodarczej naszego państwa. Wychowane w nienawiści do Związku Radzieckiego w latach międzywojennych społeczeństwo polskie, mając wielki kapitał nieufności do Rosji z czasów niewoli, nie umiało rozpatrywać obiektywnie możliwości pokojowych stosunków polsko-radzieckich. Polska Piłsudskiego, odpychana przez Ententę od zachodu, wyciskana ze Śląska i Pomorza poszła na wschód, usiłując raz jeszcze zrealizować „ideę jagiellońską". Spóźnione koncepcje historyczne nie mają warunków powodzenia. Ta — podważyła możliwość pokojowej współpracy Polski ze Związkiem Radzieckim.

W ciągu dwudziestu lat drugiej niepodległości trwał między Polską i Rosją Radziecką chiński mur nieufności. Ludzie, którzy chcieli uczynić cokolwiek dla wyjaśnienia gigantycznych procesów społeczno-gospodarczych, które dokonywały się za naszą wschodnią granicą, byli uważani za „wywrotowców". Część społeczeństwa bardziej odporna na bzdury antysowieckiej propagandy żyła w stanie doskonałej obojętności wobec wschodniego sąsiada. Tymczasem kształtowały się tam siły, dzięki którym Armia Czerwona zadecydowała o wyniku drugiej wojny światowej.

Kierownictwo polityczne Związku Radzieckiego rozegrało grę polityczną i wojskową w latach drugiej wojny światowej, popełniając bezwzględnie mniej błędów niż inne mocarstwa. Przyznają to najzaciętsi nawet jego wrogowie. Polityka Związku jest dowodem realizmu politycznego, tj. należytego oceniania możliwości i środków zarówno własnych, jak i nieprzyjaciół. Poza tym Związek Radziecki ma w ręce atut moralny, ponieważ dokonał przebudowy społecznej, o którą walczy ludowa demokracja innych państw.

Oświadczenie Stalina, że Związek Radziecki stoi na stanowisku suwerenności państwa polskiego, polega na nieomylnej ocenie sytuacji politycznej i psychicznej Polaków. Powstania w czasach niewoli, walki na polach bitew w pierwszej wojnie światowej, walki nad Bzurą i o Warszawę we wrześniu 1939, partyzantka w okresie okupacji, udział w bojach nad Anglią, o Tobruk, pod Monte Cassino, walki pod Lenino, nad Bugiem, pod Dreznem i w Berlinie — są dowodem woli niepodległości narodu polskiego.

Wie o tym doskonale kierownictwo polityczne Związku Radzieckiego. Rzeczywista niepodległość Polski leży w interesie samego Związku Radzieckiego. Polska jako siedemnasta republika dałaby mu znacznie mniejsze korzyści niż przyjazne współżycie obu państw na platformie suwerenności. Nikt rozumny nie wyobraża sobie przebudowy społecznej, ku której idzie nieodwołalnie cały świat, według unitarnego wzoru i sztywnego szablonu. Każdy rozumny wie również, że suwerenność państwowa nie jest pojęciem absolutnym. Wystarczy trzeźwe zebranie wniosków: nasze interesy państwowe nie kolidują z interesami Związku Radzieckiego, lecz przeciwnie zbiegają się z nimi w wielu punktach. Politycznie na linii Odry. Gospodarczo, z uwagi na to, że oba państwa posiadają uzupełniające się gałęzie przemysłu i surowców. Społecznie — po przeprowadzeniu u nas reform, które z państwa o spóźnionej strukturze feudalno-kapitalistycznej, uczyniły nas organizmem zmierzającym do demokracji ludowej. Wreszcie kulturalnie, ponieważ oba narody są słowiańskie.

Na polskim obszarze państwowym przebywają formacje Armii Czerwonej. Nie trzeba być znawcą prawa międzynarodowego, aby wiedzieć, że na terenie suwerennego państwa nie mogą przebywać siły zbrojne innego państwa. Na terenie suwerennych państw Francji, Belgii, Holandii, Luksemburga, Włoch, Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii przebywają siły zbrojne innych państw. Z Cherbourga i Brestu odpływają Anglicy i Amerykanie, przez Polskę przechodzą olbrzymie transporty żołnierzy radzieckich powracających do kraju. Wobec okupacji Niemiec przez narody sprzymierzone na terytoriach kilku co najmniej państw znajdować się będą przez dłuższy czas oddziały ich sił zbrojnych.

Pewna część społeczeństwa polskiego traktuje obecność oddziałów radzieckich w Polsce jako okupację.

Mówi się o zależności administracji polskiej od komendantów wojennych, o wykroczeniach poszczególnych oddziałów wojskowych, czy żołnierzy. Byłem nad Odrą podczas przemarszu jednej z armij sowieckich przez Śląsk z Saksonii i mogę stwierdzić, że odbył się on z naszego punktu widzenia zadowalająco. Nie jest bez znaczenia jak zachował się w Bochni powracający do Wiatki Gregor Nikitin, jak nie jest bez znaczenia jak spisują się w drodze powrotnej do Arizony Smithowie i do Edinburga Mac Kintoshowie, o czym niejedno opowiadają przybysze z Zachodu.

Problem leży w postawie, jaką się przyjmuje i należy przyjmować wobec maszerujących na wschód Gregorów Nikitinów. Nie wiedzą oni często, że w Zgorzelicach przekroczyli granicę polską, podobnie jak często nie wiedzą o tym nawet Polacy powracający z robót w Niemczech. Gregor Nikitin, ani nawet starszy lejtnant Karajew, nie zna też często dość dokładnie wytycznych polityki rządów polskiego i radzieckiego wobec ludności niemieckiej na ziemiach zachodnich. Poza tym nie mają zaufania do Polaków, o których przez tyle lat słyszeli, że uprawiali politykę antysowiecką. Część społeczeństwa robi też wszystko, aby tę nieufność podtrzymać. Robi to swoją postawą widoczną na każdym kroku, wyrządzając szkodę stosunkom polsko-radzieckim, podobnie jak szkodzą im przestępstwa radzieckich maruderów.

Stosunki między komendantami wojennymi i administracją polską na ziemiach zachodnich są przykładem jak można i jak nie należy rozwiązywać spraw czasowego współżycia Polaków z Armią Czerwoną. Tam gdzie przedstawiciele naszej administracji zajęli rzeczową i rozsądną postawę wobec komendantów wojennych, nie ma powodów do wzajemnych pretensji. Na jednym ze zjazdów starostów dolnośląskich, po zlikwidowaniu w niektórych miastach komendantur radzieckich, starostowie oświadczyli, że na obszarach mało nasyconych przez naszych osadników znacznie trudniej jest sprawować im władzę teraz, kiedy są sami. Gdzie indziej zatargi wynikają z winy przedstawicieli naszej administracji. Trudno żądać, aby generalny sztab radziecki obsadzał stanowiska komendantów wojennych we wszystkich małych miasteczkach sztabowymi oficerami o pełnym wyrobieniu politycznym i nieskazitelnym poziomie moralnym. Straty ludzkie Związku Radzieckiego są olbrzymie i musiały przede wszystkim dotknąć formacji wyborowych także pod względem moralnym.

Wiadomo powszechnie, że interwencja wojewody zachodnio-pomorskiego w sprawie przekroczeń niektórych komendantów odniosła rezultaty. Toż samo interwencja wojewody śląskiego u marsz. Rokossowskiego w sprawie nadużyć przy kontyngentach zbożowych i inwentarzowych. W Lignicy przed paru tygodniami rozstrzelano czterech żołnierzy radzieckich za napad rabunkowy połączony z morderstwem obywateli polskich. Były wypadki, kiedy napadnięci przez maruderów Polacy strzelali do nich w obronie własnej i nie byli za to pociągani do odpowiedzialności. Rzecz w tym, aby patrzeć na zjawiska z odpowiedniej perspektywy.

ZEGARKI I ROWERY

Przed kilku tygodniami brałem udział w rozmowie, którą toczyło w hallu praskiego hotelu „Alcrona" kilku Czechów z angielskim sprawozdawcą wojennym. Jeden z prażan zwyczajem mieszkańców środkowej Europy zaczął mówić o zegarkach, na które tak łakomi są żołnierze radzieccy. Anglik zareplikował w sposób najmniej oczekiwany przez audytorium: „Panu chodzi o zegarki? Właściwie powinniście zebrać wszystkie zegarki z całej Czechosłowacji i podarować je żołnierzom radzieckim. Odzyskaliście dzięki nim wolność po siedmiu latach krwawej okupacji i oto zegarki mają dla was większą wartość niż wolność".

Kiedy w roku 1925 Związek Radziecki pokonał wreszcie kolosalne trudności wewnętrzne, wynikłe z oporu reakcji i zniszczeń wojennych, powstała alternatywa: produkcja pokojowa i podniesienie standartu życiowego obywateli, czy wzmocnienie obronności państwa. Kierownictwo polityczne Związku, jak pokazały następne lata — trafniej oceniając przebieg wypadków międzynarodowych niż państwa zachodnio-europejskie — wybrało obronność. Zachodnia Europa wolała standart i dlatego ofensywa niemiecka we Francji w 1940 roku trwała tylko kilka tygodni, a Anglia tegoż roku stanęła na skraju przepaści. Związek Radziecki rezygnując z zegarków zbudował podstawy pod wspólne z aliantami zwycięstwo w roku 1945. Gdyby nie ono, zegarki byłyby nam zbędne. Nie można nimi wyrównać długu wdzięczności za likwidację Oświęcimia, Majdanka i Sonderdienstu.

Tym niemniej sprawa wykroczeń maruderów z wojsk radzieckich przeciw bezpieczeństwu publicznemu w Polsce, a zwłaszcza na ziemiach zachodnich jest poważna. Obchodzi ona zarówno nas jak i Związek Radziecki, bo to, co realizują świadomie kierownictwa polityczne obu państw, nie może ulegać zaprzepaszczaniu przez wybryki przestępczych jednostek. Ich wykroczenia idą bardzo na rękę tym, którzy robią antyradziecką propagandę. Chłop, któremu zabrano ostatnią krowę, czy repatriant, któremu skradziono walizkę, nie jest zdolny do obiektywnych rozważań na temat racji stanu, interesów i przyjaźni.

„KONFLIKT"

Stanowisko tej części społeczeństwa, z którą usiłujemy dyskutować tutaj, opiera się na żywionym przez nią pewniku. Jest nim konflikt zbrojny radziecko-aliancki, który „wisi na włosku". Jaki śmieszny i tragiczny zbieg ze spekulacjami Hitlera! Poza pobożnymi życzeniami głupców politycznych i przeczuciami, przesłankę tych proroctw stanowią różnice poglądów alianckich i radzieckich, właściwie zaś pewnych kół w społeczeństwach alianckich na uregulowanie problemów światowych. Najważniejsze różnice dotyczą stosunków politycznych w Europie południowo-wschodniej i zasad polityki wobec pokonanych. Związek Radziecki nie chce, aby w Rumunii, Bułgarii, Jugosławii i Grecji doszły do decydującego głosu warstwy, przede wszystkim mieszczaństwo, które swego czasu tak łatwo pogodziło się z rządami faszystowskimi w tych krajach. Nie ma powodu do zaufania do tych, którzy podali strzemię generałom Antonescu, Nediczowi i im podobnym. Wynika kwestia jak interpretować demokrację. Anglicy prawo do udziału w rządach chcą przyznać wszystkim poza faszystami sensu stricto. Związek Radziecki mając w pamięci lata 1939—1945 zgłasza zastrzeżenia wobec elementów politycznych, gotowych znów do osunięcia się w „czasy pogardy".

Poza tym nawrót do demokracji mieszczańskiej jest niemożliwy wobec przemian społecznych i gospodarczych w świecie. Jej obrońcy walczą o sprawę przegraną. Powrót do dawnego stanu jest niemożliwy, jak niemożliwe było we Francji XIX wieku zawrócenie do czasów przedrewolucyjnych.

Dla ludzi obdarzonych odrobiną rozsądku politycznego jest jasne, że konflikt zbrojny jest nie na czasie. Nie tylko dlatego, że wszyscy są zmęczeni, żołnierz amerykański uskarża się na dwuletnie oddalenie od domu, brytyjski głosował za Labour Party i sowiecki musi wziąć udział w odbudowie zniszczonej Rosji europejskiej. Także dlatego, że tendencje rozwojowe prowadzą poprzez wszystkie konflikty ku ludowym demokracjom. Europa nie pójdzie do wojny w obronie faszystów greckich czy nawet kapitalistów międzynarodowych.

WNIOSKI KOŃCOWE

Polska znajduje się w nowym układzie polityczno-gospodarczym, odmiennym całkowicie od układu dowrześniowego. Im prędzej to sobie wszyscy uświadomią, tym lepiej. Interesy polsko-radzieckie wychodzą daleko poza głoszone na niezliczonych akademiach i uroczystościach hasła wspólnoty narodów słowiańskich. Przyjaźń jest ich pochodną. Zadaniem naszego pokolenia po obu stronach jest likwidowanie błędów przeszłości i zapobieganie nowym. Jest to możliwe tylko pod warunkiem jasnego sprecyzowania stanowisk, bez niedomówień destrukcyjnej plotki. Toasty i odwracanie się od rzeczywistości nic nie dają. Idzie o rzecz wielce ważną: o przyszłość.

Idźmy w nią oparci na najtrwalszej przyjaźni, przyjaźni rozumnej.

Mieczysław Wionczek

W poprzednim (47) numerze „Odrodzenia" z dnia 21 października: **Józef Sieradzki:** „Z każdym świtem umieraliśmy"... — **Eugeniusz Zieliński:** Złota czaszka. — **Tadeusz Dobrowolski:** O planowe badanie sztuki polskiej. — **Tadeusz Różewicz:** Listopad 1944. — **Bogdan Butryńczuk:** Na gruzach „Trzeciej Rzeszy". — **Zbigniew Bieńkowski:** Rzecz działa się w kraju... — **Kornel Filipowicz:** Zwycięstwo (kartka z kalendarza ulicy Pomorskiej). — **Kazimierz Wyka:** Sprawa słusznej wyobraźni. — **Jan Kott:** Po prostu. Jeszcze o prawie. — **Stefania Łobaczewska:** Z życia muzycznego Krakowa. — Przegląd teatralny: **Czesław Miłosz:** Śmieszna tragedia. **Jacek Puget:** W teatrze lalki i aktora. — **Henryk Batowski:** Jubileusz słowiański. — **zb:** Przegląd prasy. — Kronika ilustrowana. — **czm:** Kronika angielska. — **Marian Podkowiński:** Polonica w Bibliotece im. Lenina w Moskwie. — Korespondencja (**Jan Tański**). — Literaci na zjeździe (4 rysunki **Edwarda Głowackiego**). — 9 ilustracyj. — 8 stron.

FILATELIŚCI!!

Podajcie swe adresy, a otrzymacie ciekawą literaturę filatelistyczną oraz najnowsze

CENNIKI NA ZNACZKI EUROPEJSKIE

Dostawa dla kupców i zbieraczy.

ZACHODNIA AGENCJA FILATELISTYCZNA

Katowice, ul. Młyńska 2. — Telefon Nr 34-86

KAZIMIERZ BRANDYS

Pożegnanie z ojcem*)

Noc spędziłem w fotelu, nie rozbierając się. Byłem bardzo zmęczony, ale nie chciałem kłaść się do łóżka w stanie duchowo powikłanym, bo czułem, że mi to nie posłuży fizycznie. Zaparzyłem kawy, usiadłem w fotelu i owinąłem nogi pledem, którego deseń naśladował skórę lamparta w sposób naiwny. Usadowiłem się naprzeciw lustra i zmarszczyłem brwi, dzięki czemu moja twarz uzyskała na chwilę surową ściągłość rysów ludzi silnych. Lampa paliła się słabo i w lustrze widziałem moją głowę lekko rozcieńczoną w mroku, przez co wydała mi się wzruszająco obca. Przy tym wokół panowała cisza rozległa i jawna, bo nawet wiatr jej nie osłaniał. Więc był nastrój tej nocy. Przeze mnie sunęło coś zwolna z szumem dalekich skrzydeł i zdarzały się sekundy, że chwytałem się na trwaniu bez osłonek, jak drzewo przy drodze czy krzak. Gdyby nie głowa w lustrze i biały kołnierzyk z muszką, mógłbym się sobie wydać falą świadomości. Świat przepływał przeze mnie, nastawiałem mu swe gościnne wpusty. Smutek mnie trawił. Północ. To nie był dobry objaw o tej porze zajmować się trwaniem. W policzkach ulokowały mi się dwie śniade plamy cienia, co uczyniło mnie podobnym do mojego ojca w kaplicy na katafalku, gdy przestał już bać się śmierci i zwycięsko mierzył swą bródką z trumny, w górę, ponad gromnice, ku pająkom. Ale w końcu i on popłynął przeze mnie swoją drogą. On, katafalk i trumna. Włosy rzedniały mi nad czołem i koło przedziałka. W kącie policzka, między ustami a nosem, gorycz wylęgła mi fałdę, jak ścieżkę dla łez. W tym miejscu miałem jeszcze niedawno pagórek naiwności; tu szczypał mnie dyrektor banku. A oto teraz: nowy ustrój, nowe trakty. Ale i to przeciągnęło którędyś poza mnie w noc. Po prostu — widziałem w lustrze moją twarz osadzoną w białym kołnierzyku z wiśniową kokardką. Ciszy nie osłaniał nawet wiatr. Zatęskniłem nagle za ziemią, która kiedyś przysypie mi oczy i wstałem z fotela odrzucając pled, aby zobaczyć z bliska, cóż ta ziemia przysypie.

Byłem bardzo zmęczony. Skoro ujrzałem oko w oko twarz, której kiedyś przyjdzie spocząć w ziemi, kiedy przeszło mi przez myśl, że nad moją piersią będzie rósł krzak, rozpłakałem się. Ja nie chciałem umierać. Niedawno ręce mojej babki głaskały mnie po włosach. Ona musiała wierzyć, że będę nieśmiertelny. Ale myliła się. Chciałem teraz żyć, a wcale nie było pewne czy przeżyję tę noc. Płakałem więc. Łzy płynęły mi ścieżką goryczy na wyłogi marynarki. Oparłem ręce o złocone ramy lustra i przyglądałem się z bliska własnym łzom. Północ minęła, głucho, czarno, za mną czterdzieści lat, przede mną śmierć, ja łkałem nie ze strachu przed nią. Z litości nad sobą, ze wstydu, że z tym drobiazgiem przyjdzie mi się w ziemię kłaść. Park, kl b, fontanna, kilka gimnazjalnych pochwał i promocji, studia, samotność — oto cały mój ziemski dobytek. Zmieściłbym się z tym wszystkim byle gdzie. Z piersi powinna mi osnąć trzcina i szumieć przechodniom: „Tu leżą sprawy małe". To byłoby sprawiedliwe, choć okrutne.

Płomień lampy drgał i cienie pływały po kątach sufitu, grożąc mi aluzją do spraw niepokojących. Stałem naprzeciw siebie i śledziłem wędrówkę moich łez po ścieżkach, wyżłobionych przez moich lat czterdzieści. Za moją głową w lustrze wciąż płynęły cienie po załomach ścian; widziałem niebieski przydymiony wzór tapety, fotel koloru bordo z rąbkiem żółtego pledu w lamparcie cętki, który zwieszał się z wypłowiałej poręczy; okno patrzało na mnie swą czarną, wysoką zasłoną; ja stałem w planie centralnym, jak ciemny, wąski obelisk, uwieńczony znużoną formą, w której poznawałem moje czoło, wbiegające w środek czaszki białym, nikłym rozdziałkiem, liczącym już lat dwadzieścia. Cień w kąciku goryczy przy ustach okrywał mi łzę. Żegnałem się z życiem. Oto logiczne rozwiązanie — pocieszałem się — koniec wypływa z początku, jaki żywot taki kres; quod erat demonstrandum. Wywód jedynie możliwy. Byłem gotów i dziwiłem się, że na coś dalej muszę czekać i że brakło mi jeszcze drobiazgu, aby zatrzasnąć za sobą ostatni próg. Zsunąć dwa fotele, ułożyć się w nich płasko jak w tratwie, podbródek wycelować w stronę świętej Trójcy; od wszystkiego umyć ręce i obojętnym gestem przetopić je w żółty, cierpliwy wosk. Wystarczyłoby. Przyszliby wreszcie po mnie, aby wnieść między gromnice wyniosłą resztę, którą im po sobie zostawię, gdy uda mi się wreszcie złożyć dłonie w ten obojętny gest. Na próżno jednak czekałem. Cisza stała niezmienna i żadne tchnienie nie chciało wyjść z niej ku mnie. Ale wydało mi się naraz, że z dala, z nocy rozsiadłej nad miastem i polami, przez czarne zasłony dobiegło mnie odległe szczekanie psów. Zdziwiłem się do lustra. Czego one chcą? Wyły przeciągle, cicho, żarliwie, z wielkiego oddalenia niosły do mnie jedną usilną nutę, której nie potrafiłem pojąć. Na sekundę ogarnęła mnie radość, a potem strach: może zawsze słyszy się wtedy szczekanie psów?

Ale one szczekały, a ja nie umierałem i czułem się na ogół zdrowo. Łzy obsychały mi na policzkach i stałem przejęty straszliwą zazdrością, bo ten daleki głos wzbudził we mnie nieznośną chęć życia na ziemi, po której przemyka się nocą koniokrad, łasica, czy lis, by mącić sen ludziom i psom. Wróciłem na fotel, podniosłem pled i ułożyłem głowę na oparciu. Postanowiłem czuwać tej nocy. Lampa gasła, skwierząc, mrok w pokoju płowiał. O tej porze umierał mój ojciec. Psy ucichły. Spłoszony lis umykał pewnie pod lasem. Zegar natężył się i wybił godzinę, o której mój ojciec przestał bać się śmierci. Zasłona w oknie poruszyła się. Jednak wiatr. Wydało mi się, że przez pokój przejdzie za chwilę chuda siostra w białym skrzydlatym kornecie, aby obudzić moją matkę. Śmierć przyszła wówczas w nocy i nikt by jej nie spostrzegł, gdyby nie wąsy chorego, które przestały się poruszać przy oddechu. To był jedyny znak.

Tej nocy, gdy jak zwykle przybiegłem pod jego drzwi, było tam cicho, tylko posadzka skrzypiała. Przycupnąłem w fotelu, który stał w kącie obok biblioteczki i naciągnąłem pod brodę lamparci pled, który memu ojcu służył w podróżach. On pachniał jeszcze lawendą. Skrzypienie ucichło na chwilę, ale gdy zamknąłem oczy, tam rozległ się znów szelest, który wydał mi się szczególny, a potem moment ciszy tak żarliwy, że zaplotłem ręce, czekając co się stanie. Mijały minuty i wreszcie posadzka zaskrzypiała tuż koło drzwi. Otworzyły się i ujrzałem biały kornet sunący zwolna w smudze światła ku sypialni matki. Zakonnica niosła się bezszelestnie na skrzydłach swego czepca i szła prosto, jak chude widmo, wysuwając przed siebie długie blade ręce. Gdy znikła, wypełzłem z fotela i wsunąłem głowę w szparę uchylonych drzwi. Leżał nogami zwrócony ku mnie, płaski i biały, jak gdyby paru dotknięciami ledwie naznaczony w kredowej bieli poduszek. Tyle znaczył, co garstka zmiętej pościeli; na zapadłej piersi spoczywała obojętna fałda jego martwych dłoni. Patrzył na mnie czarnymi otworami nozdrzy; reszta jego twarzy zmalała i pierzchła. Upadłem na kolana przy łóżku, aby zobaczyć dokładnie tę śmierć; wetknąłbym w nią nos, gdybym mógł wywęszyć sekret, który uczyniła z twarzy mego ojca. Słowa modlitwy wymknęły mi się z ust, same zaczęły się we mnie, szeptałem je w pośpiechu byle jak, biegając oczami po jego piersi, rękach, szyi i policzkach. Wiedziałem od pewnej chwili, że za mną uklękła matka z zakonnicą, ale czułem się ważniejszy niż one i zacząłem głośno deklamować modlitwę, dobitnie znacząc zgłoski.

Reszta nocy upłynęła na krzątaninie, szeptach i porządkach. Słyszałem jak w gabinecie matka otwiera szuflady biurka i drze papiery, jeden po drugim. Siedziałem na krzesełku koło łóżka, ciągle pochłonięty zagadką białego drobiazgu, który leżał w pościeli. Wydawało mi się dziwne, że z tylu gestów, kosztów, ambicyj i zabiegów została rzecz tak prosta, skąpa i jednoznaczna. Szelest dartych papierów dobiegał mnie wciąż z gabinetu. Byłem jej w pewien sposób wdzięczny za tę pracowitość, z którą niszczyła dowody jego słabości, a jednocześnie czułem żal, że nie zostanie mi po nim nic, co po latach mogłoby zaspokoić moją chęć doświadczania jego egzystencji. Lubiłem doznawać mego ojca w całym rozmiarze jego pachnącej godności, chłodu, sytego namaszczenia i elegancji poruszeń. Ale teraz odmawiał mi wszystkiego. Leżał nieruchomo i nie byłem tak naiwny, aby się jeszcze czegoś po nim spodziewać. Sądziłem, że niczym mnie już nie zdziwi i nie oburzy. Był tak daleki i obcy. Zdziwiłem się nawet, gdy matka weszła do pokoju z jakimś papierem zmiętym w ręku i spojrzała na niego wzburzona, jak gdyby żył jeszcze. Wydało mi się, że nie dostrzega mnie wcale; patrzyła na jego ciało ze złością za ten spokój i nieczułość. Nie sądziłem, aby można było tak patrzyć na zmarłych. Stała przez chwilę nad nim, widziałem wypieki na jej policzkach, gdy podnosiła rękę z pogniecionym listem i zdawało mi się, że za moment ciśnie mu w twarz; ale odwróciła się nagle i wyszła, zostawiając otwarte drzwi, mnie z nim sam na sam i pusty gabinet. Poszedłem tam i znalazłem na rozgrzebanym biurku ów pakiet fotografii, dzięki którym poznałem nagość mojej guwernantki, czterech pokojówek mej matki i ładnej córki stróża, Aniołówny. (Stróż nazywał się Anioł i gdy jako dziecko śpiewałem: „Aniele, stróżu mój" — zawsze miałem w oczach osobistość w granatowym kaszkiecie i z wąsikami koloru rdzy.) Nie po raz pierwszy zdarzyło mi się oglądać kobiece ciało bez sukien, miałem za sobą sześć klas gimnazjum i pouczenia kolegów, ale pierwszy raz syciłem oczy widokiem kształtów kobiet, które znałem. Smukła śniadość ud mojej guwernantki zdumiała mnie. Tajemnica płci ukazała mi swój potężny zew, nie czyniąc się przez to łatwiej dostępną. Nie chciałem rozstawać się z tą fotografią, która rozniecała mi zmysły w dziwnie tkliwy sposób. Ale sekret płci, który oto miałem przed oczami, ukazał mi jednocześnie precyzję swej szczelności. Moja ścisła pamięć nie zachowała szczegółu, który mógłby zdradzić rozwiązłość zmysłów osoby poznanej tak dokładnie przez mojego ojca. Prócz sceny w czasie balu, którą wytłumaczyłem sobie z biegiem lat jako półsenną halucynację wyobraźni, nie zauważyłem w życiu tej osoby nic, co by mogło świadczyć o wpływie dziedziny jej bioder na układ świadomych rygorów, których doświadczałem podczas francuskich konwersacji.

Tło aktu było mi nieznane. Tej sofy i obrazków nie było w naszym domu, wzór tapety był obcy. Schowałem fotografię do kieszeni, nie bacząc na możliwe skutki mej kradzieży. Wróciłem do niego, aby sycić swą zgrozę tą śmiercią, której zwięzłość budziła współczucie dla mrocznych i zawiłych wędrówek, przebytych przez to istnienie, zanim zdołało osiągnąć ów stan tak bardzo prosty. Leżał jak przedtem — drobniutka biała wypuklina w obszernej pościeli; z wklęsłości poduszek wystrzelał spłowiały krzaczek bródki. Raz jeszcze wyjąłem fotografię i spojrzałem na niego i na nią, jak gdyby chcąc ich oboje porównać. Ale to były sprawy sprzeczne. Nie mogłem go tym obciążać. Niczym nie mógłem go już obciążać. Zimnym spleceniem palców umywał ręce od tego i reszty. Dom znów ucichł, pogrążony we śnie. Szelest liści za oknem pouczył mnie koło świtu, że umarł mój ojciec. Tak zasnąłem przy nim.

Następny dzień przyniósł słotny poranek i czujną postać dependenta, który wstąpił w próg gabinetu z wiązanką białych kalii, cały skrojony z czerni i bieli od włosów, surduta i krawatki do gorsu, chusteczki i owych kalii, które złożył dyskretnie na biurku mego ojca nie opodal fotografii matki. Ja snułem się od rana po gabinecie, zwolniony tego dnia ze szkoły i patrzałem jak kolorowe przystanie nad rzeką nasiąkają mgłą, podczas gdy on objawiał się i znikał we wszystkich drzwiach, nie ustając na chwilę, smukły, giętki i niezmiennie uroczysty ze swą kruczą czuprynką i długim białym nosem, który go wyprzedzał. Ożywił cały dom i sam nie słabnąc w pośpiesznych pląsach, rozsyłał jednych, przyzywał drugich. W przerwach padał na fotel, ocierając chusteczką czoło, niby spocony wodzirej po walcu. Czasem zaglądał do pokoju zmarłego, jakby chcąc się upewnić w rzetelności tej śmierci, a kiedy indziej w wolnej chwili pukał cichutko do sypialni matki, gdzie spędzał minutę dość długą, aby mogła zmieścić ogrom mych domysłów. Niekiedy dostrzegał mnie w jakimś przytomnym momencie, wtenczas skupiał się w sobie i niewiadomym sposobem sprawiał, że padałem mu głową na pierś, a on mówił szybko i gardłowo, gładząc moje ciemię: „Mój biedny malcze", co w końcu wywołało we mnie stan tkliwej bezmyślności, która nie była mi przykra.

W południe przybiegł, ciężko sapiąc, wystraszony dyrektor banku i na mój widok zatrzymał się pośrodku pokoju, zerkając wkoło niespokojnymi oczkami. Przestępywał w miejscu na swych krótkich nóżkach i zdradzał oznaki wzburzenia. „Gdzie on jest?" zapytał mnie poufnym szeptem, mrugając porozumiewawczo. Pokazałem mu drzwi, za którymi paliły się świece. Podreptał tam, wsunął ostrożnie głowę, ale cofnął się zaraz i strzepnął palcami w podnieceniu. „Nie o to pytam" — syknął. — „Gdzie jest dependent?" Wiercił się niecierpliwie, zakrywając melonikiem wydatny zadek. Nie zdjął nawet płaszcza, co nie wydało mi się taktowne, a na jego łysinie, pod rzedniejącym pasemkiem włosów pożyczonych ze skroni, widniały gęste krople potu. Gdy wszedł dependent, dyrektor rzucił się ku niemu i całą swą pulchną figurką przylgnął do jego biało-czarnej postaci. „Paczka..." — sapał nieprzytomnie — „...pozyt... Pański list zadziwił mnie, gdzie paczka? Oszustwo!?" Szarpał wyprasowane klapy surduta dependenta, który starał się wykonywać eleganckie gesty we własnej obronie. Obaj zapomnieli o mojej obecności. „Łaskawy panie" — tłumaczył wyrozumiale, odpychając lewą ręką natarczywy brzuch dyrektora, a prawą prostując zmięty gors — łaskawy panie, przede wszystkim: spokoju. Uszanujmy ciało nieboszczyka, które oto tam..." „Spokoju?" — wrzasnął dyrektor, podskakując ze złością na grubych łydkach. „Ja mam być spokojny? Po tym liście!? To szantaż! Muszę mieć tę paczkę i nic mnie nie powstrzyma od wszczęcia..." „Spokoju" — napomniał go dependent, oglądając z uwagą swe wypolerowane paznokcie. Zamilkli na chwilę, dyrektor otarł obszerną chustką spoconą czaszkę i usiadł w fotelu. „No więc, co pan mi powie?" — mruknął nieufnie i rozpiął dwa guziki u kamizelki. „Spokojny już jestem" — dodał ugodowo, nie spuszczając oczków z dependenta. „To dobrze" — uśmiechnął się dependent z niejaką słodyczą — „chodzi o delikatność, sam przedmiot jej wymaga. I te zwłoki, które godzi się uszanować. Pomówmy jak dżentelmeni. Sprawa jest delikatna, albowiem rozumie łaskawy pan" — przysiadł poufale na poręczy fotela, w którym siedział tamten — „że ujawnienie sprawy tych akcji nie leżałoby w interesie ani pańskim ani instytucji, która..." „No no!" — przeraził się dyrektor i złapał go za rękę — „ciszej..." „Która..." — cedził uprzejmie dependent — „ofiarowała panu te akcje wzamian za przeprowadzenie sprzedaży lasów rządowych przez bank... rządowy" — zakończył z serdecznym naciskiem i spojrzał współczująco na dyrektora, który słuchał, wodząc po dywanie osłupiałymi oczkami. „Do rzeczy, do rzeczy!" — sapnął naraz z wściekłością. — „Więc co ma być? Ile tam tego zostało?" Dependent wstał z poręczy fotela i rozłożył białe dłonie, czyniąc tym z siebie obraz bezradnej niewinności. „Niewiele, powiedzmy od razu: niewiele. Nieboszczyk miał liczne wydatki, potrzeby, słabości..." „Ale uczciwość!" — zakotłował się dyrektor. — „Przecież to były moje akcje, powierzyłem mu je w zaufaniu". „Być może" — zmrużył się dependent, który unikał sprzeciwów — „ale również, być może, że nieboszczyk rościł sobie niejakie prawo do podziału. Nie sądzi łaskawy pan?" W naprężonej ciszy, która znów zapadła po tych słowach, dyrektor namyślał się nad sytuacją, postękując głucho, a ja wstrzymałem oddech na krzesełku pod oknem, aby nie zwrócili na mnie uwagi. „Ile jest tego jeszcze?" — powtórzył wreszcie dyrektor i poczęstował rozmówcę cygarem. Dependent wziął je w dwa palce, uśmiechnął się, wyjął nożyk z kieszeni kamizelki i rzekł uprzejmie, przycinając koniuszek: „Niewiele. Ale dość, abyśmy wzajemnie nie mieli do siebie urazy. Mam klucze od kasy." „A więc jeszcze i pan na trzeciego?" — jęknął dyrektor i otworzył usta z podziwem. „Tak. Jeszcze i ja" — potwierdził dependent i zadarł głowę, wypuszczając smukły dymek z swych różowych warg.

Dyrektor wstał, strzepnął popiół z poły płaszcza i zaczął naciągać rękawiczki, marszcząc się z godnością. Co uczyniwszy, zrobił stanowczy krok w stronę drzwi. Dependent stał z cygarem w palcach i strącał z satysfakcją gruby krążek popiołu na dywan. Patrzył z uśmiechem w plecy dyrektora, jak zwycięski donżuan, pewny swej władzy nad bezwolną kochanką. Nie zatrzymywał go. Dyrektor uczynił dwa następne kroki i znalazł się przy drzwiach wiodących do korytarza. Tam przystanął i wysunął za siebie melonik, jak tarczę osłaniającą zadek. Stał tyłem do dependenta i czekał. Ten czekał również. Dyrektor wykonał nieznaczny ruch melonikiem, który mógł świadczyć o gotowości do ustępstw. Dependent uśmiechnął się tryumfująco i zadarł wyżej czaszkę, nie korzystając z zachęty. Wygrał. Dyrektor powoli odwrócił głowę od drzwi i ukazał mu swój pulchny profil z oczkiem pełnym wyrzutu; wtenczas on wyrzucił rękę z cygarem w kierunku fotela, wymownym gestem znacząc swą skłonność do układów. Ale tamten wymówił się z pewną kokieterią i przycisnął palec do podbródka, ruszając wargami w sposób, który wyrażał namysł. Dependent zdziwił się na moment, spojrzał na niego uważnie i sam z kolei dotknął palcem okrągłej wypukłości wygolonej z zarostu, jakby chcąc tą samą drogą trafić na myśl dyrektora. Po czym obaj prawie jednocześnie spojrzeli sobie w oczy z uśmiechem pobłażania dla swej niedomyślności. „Kolacyjka?" — rozpogodził się dependent. — „Może... śniadanko?" — skorygował dyrektor. Zamilkli na sekundę, badając głos natchnienia. „Jutro" — zaczął dependent śpiewnie — „o dwunastej u..." „Wioślarzy" — chwycił dyrektor w locie i podniósł rękę, jak pianista po ostatnim akordzie zamykającym całość. W drzwiach ukazała się moja matka. Gość cofnął się o krok i pochylił głowę głęboko, w wykrój kamizelki, odstawiając w milczeniu rękę z melonikiem daleko za siebie; po czym tak zgięty, nie podnosząc głowy, ruszył w kierunku drzwi, jakby chciał czaszką przebić niewidzialną zaporę i znikł — on, a za nim ręka z melonikiem. Skorzystałem z tej chwili zamieszania, aby usunąć się z pokoju, w którym mogłem być intruzem.

Obok, w sypialni zmarłego porządek rzeczy uległ wielkim zmianom. Ciężkie łóżko z mahoniu przesunięto w głąb, pod boczną ścianę, a środek zajęła srebrna trumna oparta na dwóch zgrabnych stolikach do kart. Ojciec spoczywał wśród koronek, przybrany we frak, świece paliły się, ale mimo to w pokoju panował pewien nieład; bo zmiętą pościel pozostawiono na łóżku, lekarstw nie uprzątnięto, a szafa z ubraniami stała szeroko rozwarta. Wszystko to w sumie sprawiało atmosferę niecodzienną i grzeszną. Elegancja ciała i nieład pokoju nasuwały bluźniercze analogie do buduaru na godzinę przed balem, lub garderoby tenora przed wyjściem na scenę. W obcisłym jedwabiu urękawicznionych palców błyszczał złoty ryngraf, a na toalecie stała odkorkowana butelka ze spirytusem, strzy-

*) Fragment powieści „Drewniany koń".

kawka i kłąb waty, niby **resztki szminki**, którą musiał zużyć, aby uzyskać tę elegancję konieczną dla dalszych ceremonii. Świece skwierczały. W ich blasku pokój wydawał się wysoki i rozległy, a twarz zmarłego mniej biała. Zmienił się od nocy tak wydatnie, jak nigdy nie zmieniają się żywi. Jeszcze przed świtem miał niechętne usta, ale już w południe stały się lojalne, a wkrótce potem złagodniały do reszty, jakby je w ślad za dłońmi umył od pragnień i trosk. Jego sztywny gors wydymał się z pretensją nad piersią, o której tylko ja wiedziałem jak była wklęsła i wąska. Ten dzień miał jeszcze spędzić w swej sypialni. Ale w salonie, na dole, już szykowano bilardowy stół i draperię z perskiej narzuty. Przed nocą tam miał spocząć. Posłuszna fałdka w kąciku jego ust dawała mi jednak pewność, że miejsce, gdzie będzie spoczywał, jest mu obojętne. Lakierowane czółenka, sterczące w dalszym ciągu jego równiutkich spodni, utwierdzały mnie w tej pewności. Zasłony w oknach dzieliły go od rzeki, przystani i mgły. W gabinecie cicho zamknięto drzwi od korytarza i aksamitny głos dependenta **wyjaśnił mi, że** będę musiał być świadkiem jeszcze jednego dialogu i jeszcze jednej tajemnicy. Słuchałem więc bez zdziwienia, tym bardziej, że bliskość ciała w trumnie dawała mi szczególny dar komentowania zjawisk w sposób prosty. Nie od razu wszakże przyszło mi to z łatwością, albowiem dependent zachowywał się dość swobodnie i ani on, ani moja matka nie przeczuwali, że zmarły nie jest jedynym świadkiem ich rozmowy.

Kazimierz Brandys

LUDWIK KOHUTEK

W ćwierćwiecze plebiscytu na Mazurach

CZY BRAK ZAINTERESOWANIA?

Przed wojną przeciętny Polak rozumiał zagadnienie b. Prus Wschodnich czyli Pomorza Mazurskiego, jak je dziś nazywamy, jako konieczność wyzwolenia kilkuset tysięcy Mazurów z niewoli niemieckiej, z równoczesnym rozszerzeniem dostępu Polski do morza. Waga tych spraw pozwalała stawiać je w rzędzie najważniejszych problemów polityki polskiej.

Dziś ziemie Pomorza Mazurskiego znalazły się w granicach naszego państwa. Stało się faktem dokonanym to, co było przed wojną tylko naszym cichym marzeniem, naszym pobożnym życzeniem. Prusy Wschodnie, owe krzyżacko-germańskie Ostpreussen, przestały istnieć.

MAZURZY MUSZĄ WRÓCIĆ Z NIEMIEC

Dzięki elementowi mazurskiemu na tych ziemiach osiadłemu, dziś kraj ten bez żadnych zastrzeżeń wraca do Polski. Istnienie żywiołu polskiego nad Bałtykiem sprawiło, że nikt nie ma prawa kwestionować przynależności b. Prus Wschodnich do Polski. Ale co jest z ludnością na tych terenach? W 1939 r. na całym obszarze b. Prus Wschodnich było 2,168.421 mieszkańców, z czego na obszar przypadający obecnie Polsce wypadało około 1,5 miliona ludzi. Greuelpropaganda i nacisk władz niemieckich spowodowały, że większa część ludności została wypłoszona z tych obszarów za Odrę przed zbliżającym się frontem. Za Niemcami płakać nie myślimy. Jednak wraz z ludnością niemiecką odpłynęła również większość ludności mazurskiej, przeważnie pod przymusem. Mężczyźni zdatni do noszenia broni zostali zaciągnięci do wojska. Obecnie siedzą w obozach jeńców wojennych, i prócz ich własnych rodzin, nikt się o nich nie troszczy. Młodzież do dziś dnia jest przymusowo zatrudniana gdzieś w obozach pracy w Niemczech. Część pozostałych mężczyzn zabrały władze sowieckie do robót na wschód. Ta kategoria Mazurów powoli wraca do swych domów.

Niedawno bawiłem w Olsztynie, jeździłem po okolicy. Nasłuchałem się wywodów różnych ludzi, którzy na Pomorzu Mazurskim już się zdołali osiedlić i często podróżują między Warszawą i Olsztynem. Jeden z takich panów, urzędnik Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, twierdził z mocnym przekonaniem o słuszności tego co mówi, że Mazurzy to Niemcy, więc najprościej będzie wszystkich wysiedlić razem z Niemcami za Odrę. Do Prus Wschodnich należy sprowadzić na pusty teren ludność polską i wtedy dopiero będzie porządek! Zdębiałem na te wywody. Niestety, podobnych zdań nasłuchałem się więcej od różnych ludzi.

Więc Polska po to głosiła światu przed wojną, że w Prusach Wschodnich jest pół miliona ludności polskiej, aby dziś przez usta byle szabrownika wyrzec się tej zwartej masy ludności, o której pisał Kętrzyński, że „jest to krew z naszej krwi i kość z naszej kości"? Niestety, takie właśnie szkodliwe opinie przyjmują się wśród ludności nie znającej sprawy polskiej na tym terenie. Są wśród urzędników polskich na odzyskanych ziemiach ludzie, nie umiejący do dziś dnia rozróżnić Mazura lub Ślązaka od Niemca, choć ci przemawiają do niego piękną gwarą mazurską czy śląską.

DŁUG OD ĆWIERĆ WIEKU

A trzeba pamiętać, że wobec Mazurów Polska zaciągnęła wielki dług ćwierć wieku temu, podejmując się przy nierównym układzie sił rozgrywki z Niemcami w plebiscycie na Mazurach i Warmii w 1920 r. Tak, w dniu 11 lipca 1945 minęło dokładnie 25 lat od czasu, gdy wystawiliśmy na sztych polską ludność Pomorza Mazurskiego. Nie chcę tu wchodzić w przyczyny naszej klęski. Główną przyczyną, jak twierdzą znawcy, była nasza nieudolność. Warunki, w jakich odbywał się plebiscyt, z góry przesądzały wynik na niekorzyść Polski. I to trzeba było przewidzieć. W każdym razie, w tych warunkach chłop mazurski okazał się przezorniejszy od naszych lekkomyślnych organizatorów plebiscytowych: 40% uprawnionych do głosowania wstrzymało się od oddania głosu. To byli Mazurzy, którzy nie dali się otumanić agitacji niemieckiej, aby pójść do urny, gdyż wśród terroru szalejącego wówczas w b. Prusach Wschodnich, jak również wśród innych niesprzyjających okoliczności, nie widzieli w swych chłopskich obliczeniach widoków na wygraną dla Polski. Woleli z rezerwą wstrzymać się od tej całej imprezy. 56,7% uprawnionych głosowało za Niemcami. Większość ich to, rzecz jasna, również element polski, lecz nieuświadomiony, bo któż miał w ciągu wieków zająć się tą ludnością, uświadomić ją dla Polski? Któż to miał zrobić, jeżeli w pierwszej połowie ubiegłego wieku posłowie wielkopolscy parlamentu berlińskiego Giżyckiemu z Ełku, największemu budzicielowi ruchu narodowego wśród Mazurów, odmówili współpracy? Odtąd też datuje się powolny upadek polskiego życia politycznego na Mazurach.

Zresztą w owych 56% przesądzających wynik plebiscytu mazurskiego było wielu Niemców urodzonych na terenie Mazur i Warmii. Mieściła się w tej liczbie również trzystutysięczna masa emigrantów wschodniopruskich, przywieziona specjalnie na plebiscyt na Mazury. A ponad wszystkim szalał straszliwy terror niemiecki, zorganizowany, o którym nabraliśmy dość dokładnego pojęcia my wszyscy, którym było sądzone przeżywać wojnę pod okupacją niemiecką. A jednak znalazła się garść szaleńców-bohaterów, którzy w imieniu całej masy ludności polskiej w tym kraju, nie bacząc na ofiary zaprotestowali heroiczną postawą przeciwko brutalności, cynizmowi, przemocy i terrorowi niemieckiemu stosowanemu w akcji plebiscytowej. Oświadczyli się oni za Polską, mimo przegranej przewidywanej z góry. Było ich w sumie 3,3% ogólnej liczby uprawnionych. Ci bohaterzy wraz z rodzinami przypłacili to swą krwią, wygnaniem z ziemi ojczystej lub wieczną poniewierką. Jabłonka, Mazur, znany działacz polski, został zamordowany na Rynku w Biskupcu przez bojówkę niemiecką. Ten sam los spotkał działaczy mazurskich: Labusza z Hozamborka, Linkę Bogumiła z Ostródy i innych.

13 KRÓW NA 1 POWIAT!

Od wicewojewody Burskiego w Olsztynie dowiedziałem się, że sytuacja w okręgu mazurskim jest nad wyraz ciężka, o wiele cięższa od sytuacji naszych powiatów podgórskich, jak jasielski, gorlicki, krośnieński, gdzie działania wojenne dały się najdotkliwiej odczuć. Z żywności ludność wiejska posiada tylko trochę żyta i ryby. Poza tym ludność mazurska nie ma nic — mówi mój rozmówca. Na wsi nie ma ani ziemniaków, ani soli, zapałek, mleka, odzieży, hafty. Pomoc ze strony państwa i społeczeństwa polskiego jest gwałtownie potrzebna. W miastach jest zorganizowana aprowizacja na kartki przydziałowe. Są duże trudności transportowe. Jest to objaw raczej przejściowy. PKP przebudowuje linię kolejową od Nasielska do Warszawy na normalny tor. Dotychczas trzeba było transporty przeładowywać w Nasielsku. Wszystkie zapasy są wyczerpane na terenie okręgu mazurskiego. Władza nie może nic pomóc biednej ludności mazurskiej z powodu braku funduszów. Okręg otrzymuje na zwyczajne wydatki tylko 5 milionów miesięcznie, gdy inne województwa — po kilkaset milionów złotych. Rzecz jasna, że budżet taki wystarcza zaledwie na pokrycie płac urzędniczych. Mój rozmówca oświadcza, że bez specjalnej opieki i zainteresowania się władz centralnych okręgiem mazurskim sytuacja stanie się wkrótce nie do zniesienia. Na wiosnę grozi ludności głód. Trzeba ludność mazurską na wsi zaopatrzyć w żywność na kartki, przydzielić bieliznę i odzież na zimę.

Po wioskach zostały bez opieki same kobiety, dzieci i starcy, ludzie niezdatni do pracy i obrony swego mienia. Maruderzy wojskowi i szabrownicy zabierają bezbronnej ludności nie tylko ostatnią krowę i konia, ale nawet łyżkę, talerz, poduszkę spod dziecka w kołysce, ostatnią resztkę soli. Szabrownicy rekrutują się albo spomiędzy okolicznych osadników, albo też przychodzą z powiatów nadgranicznych województwa warszawskiego. W powiecie węgoborskim jest w tej chwili zaledwie 13 krów!

NASZE DZIKIE OSADNICTWO

Współżycie miejscowej ludności z osadnikami pozostawia wiele do życzenia. Osadnictwo odbywa się przeważnie na dziko. Z nadgranicznych wiosek mazowieckich, spod Mławy, Janowa, Myszyńca, Kolna przybywają ludzie, którzy od lat trudnili się nie rolnictwem lecz przemytem i znają doskonale miejscowe stosunki. Ponieważ opuszczone gospodarstwa nie mają zapasów, mieszkania zaś w nich są zanieczyszczone, bez mebli, lub wymagają reparacji, przybywający osadnik upraszcza sobie w ten sposób sprawę, że wyrzuca z zagospodarowanego domostwa rodzinę mazurską, pod pretekstem, że jest niemiecka, zajmuję wszystko i przywłaszcza bez przeszkód. Bezsilna i nieszczęśliwa ludność mazurska nie skarży się, jest zdezorientowana. W urzędach zamiast Mazurom pomagać, wtykają im w garść przepustki na wyjazd do Niemiec, jako elementowi obcemu, przeznaczonemu do wysiedlenia. Jest to zbrodnia, którą władze powinny tępić na równi z szabrownictwem. Takie postępowanie świadczy o braku zrozumienia miejscowych spraw u przybyłych urzędników. Zamiast okazać wdzięczność miejscowej ludności za przetrwanie w polskości, zamiast tę ludność przygarnąć, otoczyć opieką, okazać jej trochę polskiego serca, te szabrownicze elementy stwarzają nową w dziejach Polski epokę wychodźtwa polskiego.

Wyniki takiej polityki, wobec pozostawienia Mazurów przez tyle lat swojemu losowi, mogą być gorsze niż po przegranym plebiscycie.

BIJEMY NA ALARM!

Pytam się, w czyim interesie leży, aby polską ludność mazurską, w masie kilkuset tysięcy zgrupować na zesłaniu w Niemczech? Powiat niborski jest już podobno całkowicie pozbawiony ludności mazurskiej, zaś wybredny osadnik polski bynajmniej nie ma zamiaru osiedlać się na tym najuboższym, bo piaszczystym kawałku Pomorza Mazurskiego. Są i północne powiaty wolne, o wiele żyźniejsze od południowych, skąd Niemcy odeszli. Ale tam osadników za daleko!

Bijemy na alarm! Postępowanie wobec Mazurów musi ulec szybkiej zmianie! Obecnie wytworzyła się dla Mazurów sytuacja następująca: z przeludnionych Niemiec wyrzuca się ich do Polski jako Polaków, zaś z Polski każe się im wynosić jako Niemcom. To nie żart, to ironia losu tych ludzi, tej wielkiej grupy, składowej części narodu polskiego. To dalszy ciąg straszliwej i odwiecznej tragedii Mazurów.

Element mazurski wnosi dla Polski na ziemiach odzyskanych niezwykle cenne wartości. Pod względem kultury materialnej nabrał bowiem lud mazurski z biegiem wieków cech zachodnio-europejskich. Natomiast pod względem duchowym, zwyczajów, usposobienia, języka, pozostał polskim nawskróś. Germanizacyjne naleciałości są tu tylko cieniutką skorupką, którą przy właściwym traktowaniu można by po prostu paznokciem zeskrobać.

Ludność mazurska powinna być postawiona na Pomorzu Mazurskim na pierwszym miejscu. Powinna być wyzyskana do organizowania samorządu, życia społecznego, utrzymania kultury rolnej, odbudowy zniszczonego kraju. Do tego jest Mazur jakby specjalnie wyszkolony w twardej szkole zaborczej. Tylko przez zjednanie sobie żywiołu mazurskiego i właściwe wyzyskanie go, może Polska przywrócić do stanu kwitnącego kulturę rolną Pomorza Mazurskiego. Do tej roli Mazur nadaje się doskonale i będzie Polsce na zawsze wdzięczny za wydźwignięcie go z roli parobka i niewolnika niemieckiego do roli gospodarza na własnej ziemi, bronionej od wieków przed zachłannością niemiecką.

Element mazurski bynajmniej nie jest bierny i bezradny. Jest wyrobiony, wie czego chce, jest niezwykle pracowity i trzeźwo patrzy na świat. Rozumie doskonale swe trudne położenie i nie załamuje bezradnie rąk.

CZEGO MAZURZY ŻĄDAJĄ OD POLSKI?

Oto klasyczny przykład. Z wicewojewodą Burskim zajechaliśmy do Hozamborka na telefoniczne wezwanie. Coś musiało zajść ważnego, kiedy Labusz telefonuje, oświadcza na to wicewojewoda. Hozambork, przez Niemców zwany Hasenberg, położony w północnej części powiatu szczycińskiego, to zamożna wieś, zelektryfikowana, dobrze zabudowana, czysto polska. Jest położona nad pięknym jeziorem, co jest charakterystyczne dla wielu wsi mazurskich.

Wita nas syn Labusza, zamordowanego przez Niemców. W chacie wygodnej, o kulturze prawie miejskiej, czeka nas kilkunastu mężczyzn, wszyscy starsi Mazurzy. Na żądanie wojewody, Labusz, widać przywódca duchowy wsi, zabiera głos i mówi, że jest bardzo źle, bo ostatniego konia mu zabrano, że sołtys osadnik pędzi bimber i co jakiś czas nocą wyprowadza ze wsi do „Kongresówki" po kilka koni. Konie te kupuje za bimber od maruderów wojennych, z którymi jest w komitywie. Ci zaś z bronią w ręku zabierają Mazurom ostatnie konie i krowy. Niektórzy osadnicy po zniwach powywozili całe plony i urządzenia gospodarstw i porzucili przydzielone im osady. Co nocy włóczą się po wsiach bandy i zabierają, co jeszcze w chatach mazurskich pozostało. Milicja w gminie jest, ale na 7 ludzi posterunek ma 15 wsi do obsługi i nie może utrzymać porządku.

— No, więc czego chcecie? — pyta wicewojewoda.

Na to wyciąga Labusz z kieszeni kartkę, na której po mazursku ma wypisane punkt po punkcie żądania miejscowej ludności mazurskiej. Brzmiały one mniej więcej następująco: My sobie sami w gminie zaprowadzimy porządek pod następującymi warunkami:

1. Żądamy przeniesienia urzędu gminnego do Hozamborka i oddania władzy samorządowej w ręce mazurskie;
2. żądamy kilku karabinów dla zorganizowania straży gromadzkiej, do pomocy milicji przy utrzymaniu porządku we wsi nocą;
3. żądamy ukarania nawet śmiercią wszystkich zdrajców Polski, tak przebywających w kraju jak za granicą, o ile uciekli do Niemiec;
4. żądamy, aby społeczeństwo mazurskie miało swych posłów w sejmie w Warszawie, aby nas mogli bronić przed krzywdami i nieuczciwością;
5. żądamy dla Mazurów, którzy za Niemców przyznawali się do polskości, a mieli gospodarstwa drobne i cierpieli z rodzinami biedę, przydzielenia większych i lepszych gospodarstw po Niemcach;
6. żądamy zlikwidowania band maruderów wojskowych, które się dają wszystkim straszliwie we znaki;
7. żądamy, aby osadnikom było zabronione wywożenie z tutejszych gospodarstw inwentarza, którego nie przywieźli z sobą;
8. żądamy ogłoszenia, że tu już jest Polska, i że my już zostaniemy na zawsze pod polską władzą, bo słabsi duchem nie mogą uwierzyć, że się już nic nie zmieni;
9. żądamy polskich gazet, polskich książek i polskich nut, aby się nasza młodzież mogła uczyć o Polsce i polskich pieśni;
10. żądamy, aby polskie władze pozwoliły wrócić z niewoli, obozów i więzień niemieckich naszym braciom i synom, którzy są takimi samymi Polakami jak i my i poniewierają się po świecie, a tu nie ma kto pola obrobić i nieszczęśliwymi rodzinami się zaopiekować.

WYTYCZNE POLSKIEJ POLITYKI OSADNICZEJ

Oto program, który chłop mazurski wykreśla dla polskiej polityki administracyjnej na odzyskanym Pomorzu Mazurskim. Czyż nie przemawia do nas swą powagą, dojrzałością myśli i wysokim poziomem wyrobienia jego autorów?

Nie ma tu ani słowa żądania pomocy materialnej. Mazurzy nie domagają się subwencyj, pożyczki, kapitałów. Oni proszą: Bracia Polacy! Zapewnijcie nam szczyptę bezpieczeństwa, rozwiążcie nam ręce, dotąd po wiekach niewoli niemieckiej jeszcze nie rozwiązane, a my sobie sami doprowadzimy do porządku wszystko, naszą żmudną pracą, której się nie boimy. Natomiast w żądaniach Mazurów uderza wyraźna prośba o pomoc duchową z Polski, o opiekę moralną, o polską książkę, gazetę, kulturę polską! O odezwę polską do ludności!

Urząd propagandy jest w Olsztynie, ale jedyny polski afisz, który tam widziałem, na Mazurach, to było zarządzenie w sprawie zwalczania bimbru. Czy od tego zaczynamy administrację na tych ziemiach?

W Hozamborku została otwarta niedawno szkoła powszechna. Moment historyczny! Uczy tam siostra Labusza mówiąca czystą jak złoto mazurszczyzną.

Czego ta nauczycielka mazurska uczyła na pierwszej lekcji dzieci mazurskie?

W pierwszym dniu nauczyła swe dzieci śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła" i „Boże coś Polskę". Czyż to nie rozbrajające? Czyż to nie godne lepszego uznania, niż się to w praktyce dzieje?

NIE NIENAWIŚĆ NIESIEMY, LECZ MIŁOŚĆ!

Dla całości obrazu trzeba dodać, że Mazurzy w b. Prusach Wschodnich są wyznania ewangelickiego. Jedynie Warmiacy są katolikami, ale tych jest stosunkowo mała liczba.

W związku z tym grozi pewne niebezpieczeństwo. Chodzi o możliwość pewnych uprzedzeń wyznaniowych, szowinizmu, a nawet wrogości, z jaką odnoszą się u nas niektórzy do niekatolików. Dziś fakty krzyczą, że wiele spraw na ziemiach odzyskanych dzieje się pod kątem widzenia szowinizmu lub zacofania wyznaniowego. Na Pomorzu Mazurskim powinno to być bezwzględnie tępione, jako robota antypaństwowa i antydemokratyczna. Pastorowi Giżyckiemu odmówili w zeszłym stuleciu posłowie wielkopolscy współpracy na polu narodowym, zdaje się, wyłącznie ze względów wyznaniowych. Zemściło się to srodze na sprawie polskiej na tych ziemiach. Chodzi więc o zjednanie Mazurów przez opiekę nad nimi. Nie nienawiść, lecz miłość braterska Polaka do Mazura! Oto dewiza z jaką idziemy!

Polska ma na Pomorzu Mazurskim zdać egzamin dojrzałości państwowej.

Ludwik Kohutek

JÓZEF SIERADZKI

»Krzyżacy, wiecznie Krzyżacy!«*)

Że „Krzyżacy" są powieścią tendencyjną, tego dotąd nie stwierdzono. Tendencyjną w sensie, który stanowi przeciwieństwo „czystej" sztuki, a czerpie temat z bieżącego życia, podnosząc jego problematykę na poziom artyzmu literackiego. Bo historyczny wątek „Krzyżaków" jest niemal formalny, tylko wtórnie zaczerpnięty z odległej przeszłości, gdy właściwy pochodził z politycznego układu w końcowych latach XIX wieku. Konopnicka, tak bardzo wrażliwa na zagadnienie niemieckie, najwięcej z wszystkich, którzy pisali o „Krzyżakach", zbliżyła się do prawdy, dostrzegając, że „materia wprost kipi wrzątkiem współczesnych oburzeń". Autorka „Roty" rozumiała dobrze ducha dziejów:

„Nad Dzikimi polami i nad Zbarażem i nad szturmem Jasnej Góry zapadła „dawność dziejowa"... Chwila historyczna minęła, bronie zwróciły się gdzie indziej, lub zgoła opadły, bój ucichł, wróg przestał być wrogiem.

Ale nad Grunwaldem dawność taka nie zapadła. Proces dziejowy trwa, wre walka nieugasła, a chociaż bronie są dziś inne, moc nienawiści, która kieruje nimi, równie jest śmiertelna. A tak, ten wielki rapsod epicki drga z końca w koniec wibrującym dreszczem **żywego dramatu** (podkreślenie nasze), a ta powieść historyczna ma w sobie tyle psychicznej aktualności, iż w ręku mniejszej miary, niż Sienkiewicz, mistrza, spokój i posągowość jej linii, co chwila namiętnie byłyby zrywane" („Trzy studia", 1902).

Najtrudniej dowodzić rzeczy naocznych. Można by się posunąć do twierdzenia, że „Krzyżacy" byli nie tylko powieścią tendencyjną, ale — niepospolitą — pozycją publicystyki, nie pierwszą u autora „Janka muzykanta", „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela" i „Bartka zwycięzcy". Wbrew dystansującym się od życia estetom, czułym na honor sztuki wzniosłej ponad doczesność i niedostępnej dla spraw bieżących. Podobnie w sferę publicystyki wrasta szereg wielkich powieści Prusa i Orzeszkowej i literackie utwory Świętochowskiego. W tym też żywiole poczęły się niektóre najcelniejsze dzieła naukowego dziejopisarstwa i u nas i u wielu innych narodów.

Na tę aktualność „Krzyżaków" patrzał z ukosa Wilhelm Feldman, który przyjął ich w ogóle nieco cierpko. A W. Gostomski wołał rozważania estetyczno-literackie, o aktualności zaś powieści napisał:

„W „Krzyżakach" polityki nie spotykamy prawie wcale, bo przecież nic z nią nie ma wspólnego żywiołowy, plemienny antagonizm krzyżacko-polski, stanowiący zasadniczy wątek osnowy powieściowej" (u K. Czachowskiego, „Henryk Sienkiewicz, obraz twórczości").

Trudno o więcej błędnych sądów w jednym zdaniu.

Tymczasem w „Krzyżakach" polityka przelewa się jak war.

1897—1900

Lata były obfite w wyraźne polityczne objawy i u żyjących na nas sąsiadów i u nas. Odbywało się jakby przyśpieszone sumowanie procesów, które dokonały się wcześniej. Próba ugodowców poznańskich z lat 1890—94 kanclerstwa Capriviego skończyła się smętnie. Zresztą od razu zapowiadano, że „całej ręki nigdy nie dostaniecie" — chyba tylko palec, który uchwycił skwapliwie poseł Komierowski, rzecznik wotowania za kredytami wojennymi i poseł ks. Florian Stablewski, późniejszy arcybiskup gnieźnieńsko-poznański. Jego deklaracja:

„Czujemy się pruskimi poddanymi, istniejący stan prawno-państwowy uznaliśmy bez zastrzeżeń..., senny obraz przyszłości nie będzie nam przeszkadzał w radosnym i pełnym spełnianiu(!) naszych obowiązków wobec państwa" (Toruń, 1891) — odeszła w mało sławną przeszłość, jak do kronik narodowych poszły jego i ks. Jażdżewskiego górnośląskie aberracje polityczne. Tak samo ks. Stablewskiego: „potępiam propagandę polską na Górnym Śląsku, bo w tej dzielnicy, oddzielonej na podstawie prawno-państwowej przez pięć czy sześć stuleci od Polski, a zatem w czasie, w którym uczucia narodowego w naszym zrozumieniu w ogóle nie było, rozbudzanie tego uczucia nie posiada w dobie dzisiejszej żadnego uprawnienia" (interwiew z września 1894, u W. Feldmana, „Dzieje polskiej myśli politycznej").

Gdy już pupil Wilhelma II, referent przedłożenia o marynarce „Admiralski" — Kościelski osiadł melancholijnie na mieliźnie, sejmowe koło polskie i legitymiści kościelno-ziemiańscy utrzymywali jeszcze kurs na tron, — „lojalnych poddanych, którzy bez fałszu i udawania wszelakiego, bo z bożej myśli, muszą mieć zaufanie do pomazańca bożego". Ale sprawy były już przesądzone — i u niemieckiej góry i w polskich dołach.

W 1894 założony „Związek wszechniemiecki" w Poznaniu, w tymże roku „Towarzystwo krzewienia niemczyzny w prowincjach wschodnich". Mowa tronowa Wilhelma II przeciw Polakom. Wznowiona eksterminacja wobec Polaków i od 1898 okres ustaw wyjątkowych. Sejm pruski podwaja fundusz kolonizacyjny (1898), Deutscher Ostmarkverein (Hakata) 1899. W 1897 posłowie polscy w obu sejmach, pruskim i Rzeszy przechodzą do nieubłaganej opozycji. Miejsce złudnej idylli zajęła twarda rzeczywistość.

Także w zaborze austriackim nastawał zmierzch Stańczyków. W 1897 padł hrabia Kazimierz Badeni, bardziej miłowany przez Franciszka Józefa I „Sobieski", niż jego prawdziwy poprzednik przez Leopolda. „Jesteśmy sami, odosobnieni, ale też wyleczeni z naszych fałszywych nadziei" — konstatował Stanisław Szczepanowski w walce z konserwatystami krakowskimi („Idea polska", 1897). Na Teodora Mommsena „An die Deutschen in Österreich" odpowiada otwartym listem ze Lwowa Oswald Balzer (1897).

Aktywizowały się masy we wszystkich trzech zaborach, w mieście i na wsi. Wzmacniała się polskość miast w Poznańskim. Było w toku odrodzenie narodowe polskiego Śląska. Obudziło się silniejsze poczucie narodowe wśród Polaków Prus Zachodnich i nawet początki poczucia polskiego wśród ewangelickiej ludności mazurskiej Prus Wschodnich. Populacja biła przyrostem ludność niemiecką. W życie polityczne wkraczali robotnicy i chłopi. „Kwestia polska w państwie niemieckim weszła w możliwie najostrzejsze stadium" (R. Dmowski, „Niemcy, Rosja i kwestia polska").

Równo wtedy antyniemiecki front zaczyna dźwięczeć tonami filosłowiańskimi. W jesieni 1897 demonstruje Kraków idee „słowiańskie" (Feldman) i dokonuje się zwrot w nastrojach, dotąd antyrosyjskich. „Nowy kurs" na Rosję, zanim się okazało, że rachuby jego są tym razem chybione, widział odwołanie Hurki i Apuchtina, witał w Warszawie nowego generał-gubernatora księcia Imieretyńskiego. Arystokracja i plutokracja, wpatrzona w rozkwit gospodarczy Królestwa, szła na ugodę. Mikołaj II, z którego wstąpieniem na tron wiązał się ten zwrot, budził nadzieje. W 1897 przybywa para cesarska do Warszawy. „Oczekując wraz z deputacją na dworcu przybycia pociągu cesarskiego, Bolesław Prus wyjmował ciągle zegarek i drżącym głosem szeptał: „Panowie, za kilka minut rozpocznie się nowa era w dziejach Polski" (Feldman). W 1898 odsłonięto w stolicy pomnik Adama Mickiewicza.

Na zegarze stosunków polsko-rosyjskich godzina porozumienia jeszcze nie wybiła wtedy z przyczyn, które tkwiły w istocie caratu i ówczesnej Rosji. Ale moment był osobliwy a nastroje w społeczeństwie polskim sugestywne, „mglisto-radosne" (Feldman). „O ile na początku lat 90-ych front Polaków był antyrosyjski, o tyle pod koniec tych lat jest więcej antyniemiecki, filosłowiański" (W. Sobieski, „Dzieje Polski").

W pruskim zaborze trwał już antypolski szał. Znów rugi Bismarckowskie. Na Górnym Śląsku wyrzucano masowo robotników przybyłych do kopalń z innych zaborów. Niemczyzna szczególną uwagę poświęcała „krajowi żelaza, czarnego diamentu i pospolitego ruszenia". W masach robotniczych wrzało. W walce o ziemię bronili się zaciekle Kaszubi. Książę Hohenlohe forsował germanizację. Z tej napiętej atmosfery niebawem wystrzelić miała Września, a z rogatek ustawianych osadnictwu przez ustawodawstwo pruskie, wnet próbował wyjechać na swym cyrkowym wozie Drzymała.

Zresztą niemiecka „Weltpolitik" zaczęła się toczyć, ruszał na podbój świata „Herrenvolk", naród panów, traktujący wszystkich innych jako niewolników (Sobieski). W pałacu cesarskim już, już gotowano się do wypuszczenia na scenę hrabiego i księcia Bülowa:

— „Germanizacja Polaków jest konieczna ze względu na niemiecką „Weltpolitik".

Wtedy Sienkiewicz napisał „Krzyżaków".

Powieść wyszła w Warszawie w roku 1900. Przedtem drukowana była w „Tygodniku Ilustrowanym" od 1897—1900.

PRECEPTOR I WIESZCZ

Gdzie wróg?

Nie z Tatarami nam, ale z Niemcami na śmierć i życie, i jeśli ich nie zetrzem, od nich zguba przyjdzie (Zyndram z Maszkowic).

Po cóż nam się było z Litwą łączyć, jeśli nie przeciw onym wilkom krzyżackim? Raz więc trzeba z nimi skończyć, aby zaś dłużej nie szarpali nam wnętrzności.

Daj Jezu, wojnę z Krzyżaki i z Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi Królestwa tego i wszystkich narodów w naszej mowie Imię Twoje Święte wyznawających.

...Każdy nosił w duszy głębokie poczucie, że raz trzeba skończyć z tym strasznym wrogiem całego plemienia i że nie zakwitnie w potędze, w spokoju i pracy Królestwo, póki... nie będą wyłamane Krzyżakom zęby i nie będzie odcięta im prawa ręka.

Ich zamysły

To plemię zawsze będzie łupem i karmą Zakonu, równie jak mucha bywa łupem i karmą pająka (Rotgier de Bergow).

Większać nasza moc, i jeśli nie ustąpisz, do samego Krakowa mieczami naszymi ścigać cię będziem (groźba Kazimierzowi Wielkiemu).

„Jednym zamachem zawojuję i obalę na wieki wieków całe Królestwo „tak aby ślad po nim nie został" (relacja z mowy Mistrza Ulryka).

Jeżeli nie uczynisz wielkiej wojny i nie wytracisz ich, aby i imię nie zostało — tedy biada nam i naszemu narodowi (wójt sambijski do Mistrza Zakonu).

Bóg daj, aby niemiecki miecz całe to plemię wygubił (Danveld).

My Krzyżacy nie boim się nikogo (wielki komtur Kuno Lichtenstein).

Gott mit uns! (Fryderyk Wallenrod).

Kto oni

Krzyżak jak może kogo zgubić — to zgubi (Księżna mazowiecka).

Jako tchórz cuchnie, tak Krzyżak łże (przysłowie na Mazowszu).

W potrzebie nikt nie umie być pokorniejszy od Krzyżaków (Fulko de Lorche).

Zaraza każdemu milsza niż Krzyżak.

Gdy z Krzyżakiem źle, będzie ci wyrozumiały jak franciszkanin, pokorny jak jagnię i słodki jako miód — tak że lepszego na świecie nie znajdzie. Ale niech poczuje za sobą moc — nikt ci się więcej nie napuszy i u nikogo nie znajdziesz mniej zmiłowania. Widać Pan Jezus dał im krzemienie zamiast serc (Powała z Taczewa).

A Krzyżak właśnie najzawziętszy. Dzierżże go za łeb i nie puszczaj, bo inaczej gorze ci! (Powała z Taczewa).

Nie masz między nimi ni posłuchu, ni prawdy, ni uczciwości, ni wiary. Nic jeno chciwość a złoba taka, jakoby wilkami nie ludźmi byli (ksiądz Wyszoniek).

Krzyżak zawsze Krzyżakiem (Maćko z Bogdańca).

Nie przejedna Zakonu ni słaby, ni mocny, bo słabym gardzą, mocnego zaś do upadku przywieść usiłują. Kto im dobrze czyni, temu się złem wypłacą.

W sercach zawsze jednak myślą o zagładzie Królestwa i całego plemienia polskiego.

Zbrodnie krzyżackie

Widziałem jako matkę Danusiną jeden Niemiec z pawimi piórami na helmie chciał do siodła troczyć — i jako w oczach mu na sznurze zbielała (Mikołaj z Długolasu).

Widzieliśmy z murów, jako w rynku mężów, dzieci i niewiasty ścinali mieczami, albo jako niemowlęta rzucali w ogień... Widziałem zabijanych księży, gdyż w złości swej nie przepuszczali nikomu (Przeor w Sieradzu).

Napadają wsie, rzezają kmieciów, topią rybaków, chwytają dzieci jako wilcy (Powała z Taczewa).

Kto wieczorem na pograniczu układa się spać, nigdy nie wie, czy nie rozbudzi się w pętach, albo z ostrzem miecza na gardzieli, albo z płonącym pułapem nad głową. Nie ubezpieczą od zdrady przysięgi, pieczęcie i pergaminy (Księżna Anna Danuta).

Zali w całym tym królestwie nie ma człowieka, który by od nich krzywdy nie doznał i pomsty nie pragnął? (Zbyszko z Bogdańca).

Otucha

Jest naród nasz okrutnie żywiący i moc w sobie też ma niepożytą. Choć ta i chwycisz go, krzyżacki psubracie, za grdykę, zdławić go nie podolisz, jeszcze ci zęby wybije (Maćko z Bogdańca).

...polecą też wióry i paździerze z Niemców, polecą (Czech Hlawa).

Ale przebierze się w końcu miara (Powała z Taczewa).

Co czynić?

...pięści na nich nie dość, trzeba zmóc ich głową (Zbyszko z Bogdańca).

Wszędzie wszystkie inne troski ustępowały trosce o konie i zbroje, wszędzie oglądano w wielkim skupieniu kopie, miecze, topory, rohatyny, hełmy, pancerze, rzemienie przy napierstnikach i kropierzach. Kowale dzień i noc bili młotami w żelazne blachy, kowając zbroje grube, ciężkie.

I gotowano się po wszystkich ziemiach królestwa poważnie, bez chełpliwości, jako zwyczajnie do boju na śmierć i życie, ale z głuchą zawziętością potężnego ludu, który zbyt długo krzywdy znosił i wreszcie do wymierzenia straszliwej kary się gotował.

BYŁO I JEST

Jest wszystko zebrane ze współczesnej Sienkiewiczowi chwili (i z naszej więcej jeszcze): Das deutsche Schwert i ausrotten, Wir Deutsche fürchten niemand i Gott mit uns, — slogany ukute w brandenbursko-pruskiej kuźni. Są Ulryk, Lichtenstein, Wallenrod, Danveld, de Bergow — eponimy Wilhelma, Bismarcka, Hohenlohego, Hansemanna. Pisze Sienkiewicz dyplomat i od razu na nim jakby palimpsest, na zamazanych literach dawnego czasu współczesną opowieść o krzywdzie i grozie. Jest jego, Sienkiewicza, a nie statysty Zyndrama z Maszkowic, historiozofia: z kim i przeciw komu i jego myśli o sensie unii polsko-litewskiej. Jest dojmująca, realistyczna charakterystyka Niemców. „Żywa tradycja narodowa kto wie, czy nie więcej dostarczyła mu rysów do jego niezrównanych kreacji, aniżeli źródła dziejowe i studia na nich oparte" (W. Gostomski).

Na pewno więcej! Żywa tradycja i znajomość współczesnych Niemiec, o których wciąż myślał, nie mniej niż o Krzyżakach XV-go wieku. Stąd plastyczne postacie, uosobiające ponurą zbrodniczość, od której wieje grozą.

Jest obraz krzywd dawnych, z „Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum", ale i tu dźwięczy substytucja narodowej niedoli Polaków w Prusiech. Jest otucha dla walczącego narodu. Jest program: nie popadać w zwątpienie, jak przodkowie zbroić się w skupieniu, poważnie — i pracować, aby wszystko było gotowe: **„ludzie, wozy, konie, broń, zbroje, zapasy — tylko siadać i jechać".** Oczywiście, w ówczesnych warunkach niewoli — w przenośni.

„A tymczasem — myśli Maćko — **trza harować — i majętności przysparzać, aby godnie w pole wystąpić".** I haruje uparcie.

Jeszcze nie było Grunwaldu. Jeszcze piętrzyły się ciężkie mury wzniesionego ex luto Malborga, od których oglądania ciemniała w trosce twarz Zyndrama z Maszkowic.

„A jednak stary rycerz myślał o zamkach krzyżackich jako o przyszłych siedzibach dla swoich wnuków. I wielu zapewne tak samo myślało w królestwie Jagiełłowym". Także samo myślał Sienkiewicz, zdawało się contra spem — a jednak rozumnie.

„Małoż to wsiów i zamków w psubrackich rękach Krzyżaków? Hej! nużby tak Pan Jezus zdarzył! byłoby godne pomieszczenie, bo tam zamki całe z cegły czerwonej, z których by kasztelanie nasz miłościwy król poczynił".

Prawie pół wieku później marzenie wskrzeszonego przez Sienkiewicza Maćka z Bogdańca spełniło się co do joty.

Zdolność Sienkiewicza utrafiania wiernie w prawdę jest zdumiewająca. Okrucieństwo Zygfryda de Loewe wobec Juranda, demoniczny podstęp w porwaniu Danusi, wyglądały na wyskok fantazji i wybryk plemiennej nienawiści pisarza. Najświęższa historia wniosła dowód prawdy nieomylnej tradycji narodowej.

Zamęczonej przez diabelskich mnichów, umierającej Danusi pachło kwiecie łąki. Pół tysiąca lat później polskie łąki i niebo śpiewały znów pieśń Danusiom. Setkom tysięcy dziewcząt, Polkom i nie-Polkom, które w męczeństwie zaćmiewającym kanonizowane ofiary prześladowań za wiarę, gorzały w krematoriach. Na popiołach ich ciał rosły warzywa dla niemieckich gardeł. Wszyscy oni antropofadzy, świadomi i nieświadomi, noszący w swej tkance spożyte produkty intensywnej gospodarki, zasilanej ludzkim kompostem.

Nie przesadził Sienkiewicz w obrazie Niemców. Nadto dobrze rozumiał przeszłość. Nie intuicjonizm to, ale pewna droga przez pisane przekazy przeszłości i znajomość pulsu życia własnego czasu. Rozumiał i znał Niemców. Znał również Polaków. Jeżeli innym razem wykrzywił oblicze księcia Wiśniowieckiego, to było w tym świadome fałszerstwo, w osławione swawolą i batem nazwisko tchnął kreację, którą wymyślił i stworzył poza prawdą historyczną i wbrew niej.

Zdrowy zmysł polityczny nakazał mu również wyraźne pierwiastki filosłowiańskie, co wynikało logicznie z oceny niebezpieczeństwa niemieckiego. W opisie bitwy grunwaldzkiej kilka razy wraca do „świetnych pułków ruskich": **„Potoki krwi okupywały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się z rozpaczą i wściekłością".**

Sienkiewicza caeterum censeo o Niemcach oddaje anegdota Ignacego Chrzanowskiego: „Wkrótce po wybuchu wojny r. 1914 Sienkiewicz przybył z Oblęgorka do Krakowa. Na pytanie jednego z dobrych znajomych warszawskich, bawiącego w Krakowie (p. J. B.): „komu pan życzy zwycięstwa?" — odpowiedział: „Diabłu samemu, byleby pobił Niemców" („Głos Narodu", 1921, nr 294, cyt. u K. Czachowskiego).

Był realistą.

*

Słusznie „Krzyżacy" inaugurują listę naszych poważnych wydawnictw. Niech idą między ludzi, co — jak ongiś Zbyszko — „doczekali się w zdrowiu i sile tej szczęśliwej chwili, w której jedną bramą wyjeżdżał z Malborga ze łzami w oczach Mistrz krzyżacki, drugą wjeżdżał na czele wojsk polski wojewoda, aby w imieniu króla i Królestwa objąć w posiadanie miasto i całą krainę aż po siwe fale Bałtyku". Niech wielki pisarz, który umiał rozpalone do czerwoności sprawy ciężkich dni zamknąć w ramy zrównoważonego eposu, uczy i krzepi dalej serca. Niech niesie zachętę do pracy przypomnieniem wielkiego czasu, gdy „nadmiar sił, który odczuwały rody, rozpierał całą społeczność, tak iż była jak war, który musi z naczynia wykipieć".

I niechby książka trafiła na Zachód!

Przypiska.

W ustalenie tekstu nowego wydania powieści włożono wiele starania, dano poprawną pisownię i przestankowanie. W pięknym języku powieści tym większym blaskiem skrzą się

*) Henryk Sienkiewicz. Krzyżacy. Powieść. (Kraków), Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" i Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1945; t. I, str. 448 i 2 nl.; t. II, str. 519 i 3 nl.

archaizmy staropolskie i góralszczyzna. W pisownię nazwisk wprowadzono ład: **Danveld** (zamiast Danfeld), **Gotfryd** (Godfryd, Gotfried), **Ulryk** (Ulrych), **Markwart** (Markward), **de Bergow** (Bregow), **Majneger** (Mejneger), **Zyndram z Maszkowic** (z Maszkowa) itd. Dokonano poprawek języka: „i póki księżna nie pociągnęła **jej** za kołnierz ku sobie" (zamiast: ją), „napatrzyli się do **syta**" (zamiast: do sytu), „zasię Mistrzowi i wam **do** Mazowsza" (zamiast: od Mazowsza), zająkując się (zamiast: zająkając), oraz trafnych koniektur: „Mistrz na króla listy do obcych **dworów** wysyła (zamiast: dworzan), złotem **przeciw** żelazu nie wskórasz (zamiast: przecież), jakoby **własnej siostrze** (zamiast: właśnie)". Znakomita jest emendacja, dzięki której powiedzenie Jaśka z Tęczyna zyskuje rozumny sens: „Wolę ja jedną głowę uciąć, niźli króla i królestwo na **śmiech** podawać" (zamiast: na śmierć). Natomiast poprawka Aralu na Ural jest dowolna.

Nareszcie podano poprawny tekst „Bogurodzicy". **Józef Sieradzki**

Na marginesie wystawy „Polonia"

Otwartą w dniu 14 października wystawę w krakowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych pn. „Polonia" opuściłem z uczuciem przygnębienia. Utwierdziła mnie bowiem w przekonaniu, że trafiają się wprawdzie u nas obrazy tematowe, ale nie ma sztuki tematowej. Wśród malowideł olejnych nie odnalazłem ani jednego, który by sprostał patosowi wyrazu „Polonia". W wielu przypadkach połączenie jasnej, poimpresjonistycznej gamy barwnej z ponurym tematem wojennym prowadzi wręcz do groteskowych, a więc niezamierzonych wyników. Za to wiele gwaszów a zwłaszcza rysunków i rycin można uznać za „dobre" ilustracje ostatnich dziejów naszej martyrologii, ale tylko ilustracje, które nie są jeszcze obrazami. Wyłowiony jakże z rzadka rodzynek nie ratuje zresztą sytuacji i potwierdza wypowiedziany już pogląd o zaniku sztuki tematowej.

W związku z tym nasuwa się refleksja, że nie zawsze tak było. Antoni Brodowski, Michałowski, Gierymscy, Kotsis (ograniczam tę listę do nazwisk uznawanych przez obecne pokolenie artystów) kojarzyli polifoniczną i bogatą nieraz formę malarską z tematem o wątkach wielofigurowych. Było to nie tylko wynikiem konwencji artystycznej, lecz także świadomego wysiłku. Świadczą o tym np. wypowiedzi Michałowskiego oraz listy Gierymskich. Nie wszystkim zapewne wiadomo, że Aleksander Gierymski, ten bodaj największy u nas fanatyk formy, cenił niezmiernie sztukę swego brata właśnie za jej pozamalarskie, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli „metafizyczne" wartości. Istnieli zatem do niedawna twórcy, którzy ową pozorną antynomię: forma-przedmiot przezwyciężali skutecznie, nie lekceważąc przedmiotu, ale odnosząc się do niego z szacunkiem, który był wyrazem ich stosunku do sztuki — i świata, zasługującego na afirmację. W takiej atmosferze było miejsce na sztukę tematową.

Nie wprowadzano też sztucznego podziału na twórczość stosowaną i czystą, bo było to niepotrzebne. Sztuka tematowa (a więc stosowana do przedmiotów) była zarazem sztuką czystą. Modlący się Żydzi w „Trąbkach" A. Gierymskiego są określeni jako ludzie, bo każdy z nich posiada odrębny wyraz fizjonomiczny, a nie kolidują z plastyczną funkcją motywu, gdyż owe postacie stanowią celowy układ rytmicznych znaków, potrzebnych w ogólnym zestroju obrazowych jakości, jak kontrapunkt w utworze muzycznym. Wspomniane właściwości malarskie nie są oczywiście czymś nowym i tłumaczą się jeszcze poprzez swój związek z bardzo odległą tradycją.

Sztuka dzisiejsza przekreśla harmonijną symbiozę formy z przedmiotem, a zwłaszcza z humanistycznie pojmowanym tematem. Spotyka się bowiem na wystawach albo złe obrazy tematowe, albo dobre obrazy, oderwane jednakże od przedmiotu, co prawda połowicznie, bo dalekie również od czystej abstrakcji; w każdym zaś razie pozbawione tematowego balastu, który, należy przecież dodać, nie zawsze był odczuwany jako balast.

Powody tego stanu rzeczy są na pewno bardzo złożone i mogą być rozważane w różnych płaszczyznach: historycznej, społecznej, psychologicznej a nawet technicznej z tym, że cytowane czynniki sprawcze wchodzą jeszcze ze sobą w wielorakie związki. W świetle gruntowniejszych badań sztuka współczesna wraz ze swą atematowością i kontrhumanizmem okazałaby się zapewne tworem historycznie uzasadnionym, bo ostatecznie sztuka zawsze jest wyrazem czasu; niekiedy nawet swój czas wyprzedza, ale może się też okazać zjawiskiem spóźnionym lub schyłkowym.

Z tych stwierdzeń należy wyprowadzić pewne wnioski. Jeśli się uzna obecną sztukę przedstawiającą za beztematową i beztreściową a równocześnie usprawiedliwioną z punktu widzenia ewolucji, to nie trzeba jej narzucać tematu. Jeśli zaś okaże się praktyczna potrzeba sztuki tematowej i jeśli w związku z tym artyści odczują nowe postulaty idących czasów, wynikające z nieodwracalnej dialektyki historycznej, wówczas sztuka będzie musiała się zmienić. **Tadeusz Dobrowolski**

WACŁAW KUBACKI

Irracjonalny współczynnik twórczości

Przeżywamy radosne zdarzenie odrodzenia polskiego życia literackiego. Pisarze rozbili butelki z rękopisami i powyłazili szczęśliwie ze słojów. Z szuflad, z kuferków, z piwnic, strychów i mysich nor rusza powoli literatura w świat. Butelkowanie bowiem powieści, wekowanie dramatów i różne nalewki poetyckie to nie są „formy" odpowiednie dla piśmiennictwa! Nawet przechowywanie liryki w kryształach nie uratuje sytuacji, choć trzeba przyznać, że byłaby to istotnie splendid isolation.

Pisanie dla siebie, a wszyscy w czasie wojny z konieczności naśladowali pod tym względem wytwornego poetę z Czarnolasu, nie zasługuje jeszcze na miano literatury. Literatura zaczyna się właściwie z chwilą, gdy rękopis wędruje od pisarza w drugie ręce, pod inne oczy, w obczyznę myśli i uczuć, w cudzą rzeczywistość. Tak czy inaczej pierwiastek społeczny przetwarza pisarskie akty na twórcze fakty.

W tej chwili mam na myśli specjalny wypadek socjologiczny, zwany potocznie błędem drukarskim. Zasługuje on w pełni na nazwę irracjonalnego współczynnika twórczości. Czytelnikowi nawet do głowy nie przychodzi, w jakim nieraz stopniu składacz bywa współpracownikiem autora, ile czasem finezji myśli, jaką śmiałość wyobraźni, ile oszołamiających skojarzeń, świeżych zestawień słów zawdzięczamy zwyczajnemu chochlikowi zecerskiemu. Wiedzą o tym tylko wtajemniczeni: pisarze, redaktorzy, korektorzy i sekretarze redakcyjni. Był to już od czasów pierwszych szablonów używanych w starożytności stały, natrętny wkład „futuryzmu" do porządnej, klasycznej literatury; albowiem błędy drukarskie odkopano nawet w Pompei, z czego uczeni wnioskują, że już wówczas używano ruchomej czcionki do składania monogramów, pieczęci itp. zalążków drukarstwa.

Pomimo to, jacy my jesteśmy szczęśliwi w porównaniu z pisarzami starożytnymi. Nasze błędy są we wszystkich egzemplarzach jednego wydania jednakie: widnieją na tej samej stronicy i w tym samym wierszu. I ostrzec przed nimi czytelnika łatwiej i badaczom sporzej taki tekst emendować, czyli oczyścić. Wyobraźmy sobie natomiast pracę drukarską w jakiejś Aleksandrii lub Rzymie. Siedzi oto dwudziestu lub trzydziestu kopistów zwanych po grecku zwyczajnie bibliografami a po łacinie librarii przy dwudziestu lub trzydziestu pulpitach i pisze pod dyktando lub przepisuje którąś księgę Liwiusza. Każdy z nich może być indywidualnie w różnych odstępach czasu roztargniony i zmęczony i w różnych miejscach zacznie „współtworzyć". Tych dwadzieścia lub trzydzieści elementów nieobliczalnie permutacyjnych daje niepokojące bogactwo niedokładności i zniekształceń.

Zmiany zaś i różnice mogą mieć nieprzewidziane nieraz następstwa. Np. w tekstach świętych stawały się one powodem zażartych sporów, różnic wyznaniowych, odszczepieństw, prześladowań religijnych, świętych wojen, emigracji, rozłamów kulturalnych i politycznych itp. doniosłych faktów historycznych.

Najdelikatniejsze natchnienia liryczne zamykano w starożytności na trzy spusty i trzymano pod siedmioma pieczęciami skomplikowanych miar wierszowych, między innymi powodami także dlatego, żeby je zabezpieczyć przed zniekształceniem w recytacji i odtwarzaniu piśmiennym. Literatura już dawno wyszła z epoki pamięciowej, a melika (poezja liryczna) w dalszym ciągu zachowała chwalebną ostrożność. Dopiero wiek wydoskonalonego, czyli zmechanizowanego kunsztu drukarskiego mógł sobie pozwolić na — vers libre.

Przepisane zwoje i kodeksy stawały się z kolei matrycami. Potem z ich odbitek znowu przepisywano czyli płodzono odmiany, lekcje, warianty, interpolacje i koniektury. W średniowiecznym „Philobiblionie" Ryszarda de Bury żalą się księgi na zdradzieckich kopistów, że źle odczytują i poprawiają z życzliwości i żarliwości (przełożył J. Kasprowicz, Lwów, „Ossolineum", 1921). Nic tedy dziwnego, że po takiej kilkunastowiekowej sztafecie piśmiennictwa starożytnego, w której jeden kopista niezmordowanie podawał drugiemu stylus i trzcinę, filologowie mieli zapewniony chleb na całe tysiąclecia. Żeby ocenić to zjawisko, trzeba powertować tomy Teubnerowskich wydań klasyków greckich, gdzie przeciętnie jedną trzecią lub jedną czwartą strony zajmuje nieśmiało i jakby kątem tekst główny, a resztę zachłannie obsiewa nieprzejrzysty maczek tzw. aparatu krytycznego.

A przecież doszedł nas tylko znikomy ułamek produkcji starożytnej! Strach pomyśleć, co by to było, gdyby nie działał, na ogół sprawnie, wcale nieźle pomyślany regulator twórczości w postaci wojen, pożarów, trzęsień ziemi, powodzi, gryzoniów, sympatycznego drobiazgu różnych robaczków żywiących się uczoną strawą itp. maltuzjańskich zabiegów matki natury! Jedna rzecz tylko niepokoi w tym humanistycznym darwinizmie: nie zawsze mianowicie mamy pewność, czy ocalają się w tej naturalistycznej gospodarce osobniki najtęższe, egzemplarze najdorodniejszego natchnienia. W każdym razie, trzeba sprawiedliwie przyznać, że mają one największe szanse przeżycia. Są liczebniejsze, bo częściej przepisywane, mocniejsze, gdyż na odporniejszym materiale się je utrwala, bywają pieczołowiciej chronione i szerzej rozprowadzone w przestrzeni kulturalnej, a przez to bardziej zabezpieczone, niż inne, od całkowitego wytępienia.

Natura przykładała ręki do niszczenia płodów literackich oczywiście dlatego, żeby się pozbyć konkurencji, bo jak głosiła starożytna poetyka dzieła sztuki naśladowały przyrodę. Jeśli bogowie okazywali się zazdrośni wobec śmiertelników, to i naturze nie przynosiło to ujmy. Szlachetniejsze motywy ze strony przyrody mogą wchodzić w rachubę znacznie później, to jest od czasu, kiedy stwierdzono nieudolność i partactwo artystów w porównaniu z mistrzostwem natury. Nie kto inny, tylko romantyk i mistyk, Novalis, powiedział: „Die Bücherwelt ist in der Tat nur die Karikatur der wirklichen Welt" („Świat przedstawiany w książkach jest właściwie jeno karykaturą rzeczywistego świata"). Karykaturzystów zaś nie lubi się i słusznie, a cóż dopiero karykaturzystów mimowolnych!

Największą przywarą składaczy i łamaczy (nomen omen) jest fakt, że trawestują oni i parodiują w najlepszej wierze. Każdy z piszących ma prawdopodobnie zielnik, w którym przechowuje okazalsze kwiatki zecerskie. Są błędy ogólne, mechaniczne, które prawie nigdy nie zawodzą. Do takich należą z zasady zamiany słów: statyczny na statystyczny lub sadystyczny, sensualny na seksualny, rachityczny na rasistyczny, hipotetyczny na hipoteczny, przeciwstawienie na przedstawienie, strofa na strefa (lub odwrotnie), centaury na cetnary, grzałka na gorzałka, aligator na irygator, prawdy wieczyste na prawdy nieczyste itd. itd.

Są też błędy wyższego rzędu, bardziej „twórcze". Edward Boyé użalał się kiedyś, że z wazy, bodaj nawet była to jakaś cenna grecka waza, zrobiono mu w korekcie — wesz. Antyczna waza i autentyczna wesz! Niejedna hipoteza w składaniu okaże się dla nauki — protezą. „Prodrom mesjanizmu" przewartościuje się na „Hippodrom mesjanizmu". Zdumiewająca jest pomysłowość zecerów, jaką rozwijają w zakresie swych skromnych możliwości. Co to za wirtuozi językowi w dziedzinie zbliżeń sensów i rozbijania atomów słownych na nowe nieprzeczuwane znaczenia! W swoim czasie bawiono się w Warszawie korektorską przygodą pewnego młodego poety, któremu tytuł tomiku wierszy „Szarfa ciemności" zmieniono na „Szafa ciemności". Kiedyś cytowałem Norwidowe określenie wkładu Germanów do historii „głębie lukusu (lucus a non lucendo!) szły na Rzym"; składacz poprawił na zrozumialsze „głębie luksusu szły na Rzym" nie troszcząc się bynajmniej o to, jak Rzym na tym luksusie germańskim wyszedł. Zecer przy dzisiejszym maszynowym składzie jest naprawdę alchemikiem o potężnych możliwościach, który dosłownie przetapia ołów czcionek na złoto drukowanego słowa.

Szczególnie prace krytyków i naukowców są narażone na różne niespodzianki, gdyż są to rzeczy pisane niby zrozumiałym dla każdego językiem, o niezwykłych jednak szeregach treściowych. W najlepszym natomiast położeniu są poeci, albowiem ich system wyrażania jest tak dalece oderwany od potoczności, że nie prowokuje niepożądanych zbliżeń dźwiękowo-znaczeniowych. Większość nowoczesnych utworów wierszowanych składa zecer zapewne z doskonałą obojętnością i skupieniem, należnym jakimś cytacjom w obcym języku. Tylko w ten sposób można zrozumieć małą stosunkowo ilość błędów w wierszach futurystów, dadaistów lub nadrealistów, choć pisali odrębnym językiem a nawet stosowali pseudofonetyczną pisownię (hfistek!).

Były dawniej zaklęcia przeciw złodziejom książek, były magiczne i mocne formuły na krytyków, czyhających na nieszczęsnych autorów. Że też nikt nie wpadł na pomysł zabezpieczenia się przeciw nieobliczalnościom i złośliwościom błędów drukarskich! Jeden Tuwim kazał się modlić żonie za swoje „litery", aby mu się zeszły w pieśni. Należy to, aczkolwiek ubocznie, do poruszonej przeze mnie sprawy. Podłożem bowiem tej metafory jest mechanistyczna teoria kosmologiczna Epikura, opiewana przez Lukrecjusza w sławnym poemacie filozoficznym „De rerum natura". Według niej wielość i różność rzeczy pochodzi z przypadkowego układu i rozkładu ciałek prostych. Lukrecjusz widzi analogię do ustawicznej permutacji i kombinowania układów atomowych w piśmie, gdzie te same znaki występują w różnych wyrazach w różnych zespołach i w ten sposób stwarzają odmienne treścią i dźwiękiem (re et sonitu) całości. Otóż ta poetycka atomistyka zdaje się rządzić zjawiskami błędów drukarskich, czyli dziedziną specjalnego rodzaju „twórczości", bo jest to mimo wszystko twórczość!

Czytałem przed laty jakąś niemiecką rozprawę o psychologii i socjologii błędów druku. Były tam przedziwne historie. Pamiętam, autor dowodził, że podświadoma niechęć klasowa jakiegoś zecera socjalisty w cesarskich Niemczech stała się przyczyną całego łańcucha błędów w tekście sprawozdania, w którym była mowa o następcy tronu (po niemiecku Kronprinz). Otóż najpierw przemianowano go na Knopfprinza, potem na Kornprinza, a wreszcie na Knorrenprinza. Za kolejność zresztą nie ręczę, dość, że się na niemałej obrazie majestatu skończyło.

Ta socjologia przyszła mi na myśl, gdy zacząłem poprawiać maszynopis swej ostatniej pracy. „Dystych elegijny" zamienił się na „dystrykt religijny". Skojarzenie elementów jak z koszmarnego snu, albo lepiej jak z rzeczywistości wojennej. Jeszcze ciekawsza rzecz stała się z „małą Improwizacją Konrada". Wyszła z tego po prostu i trywialnie: „mała Aprowizacja Konrada". Może dlatego, że Konrad był romantykiem? A później dworujemy sobie z psychologii pomyłek i pokpiwamy z przyczynków do socjologii odbitek szczotkowych.

Mam paru przyjaciół poetów. Przy pierwszych imieninach będę w kłopocie. Czego bo życzyć dziś wypada lirykom? Czy każdemu „Wielkiej Improwizacji", czy też raczej „Wielkiej Aprowizacji"?

Wacław Kubacki

Poezja Swinarskiego

ARTUR MARIA SWINARSKI

Artur Maria Swinarski. Przekleństwo morza. Wiersze 1935—1945. Kraków, Stefan Kamiński, 1945, str. 32 nl.

Poezja składa się również ze słów. Poezja jest niczym innym, jak układem **pięknych zdań** czyli pięknych zespołów słów, proponował Pelper. Bywa, że poezja składać się może **tylko** ze słów, powie czytelnik niektórych wierszy A. M. Swinarskiego. Wiersze Swinarskiego należały bowiem zawsze i należą dzisiaj, skupione w okolicznościowym tomiku poświęconym tematom morskim, do poezji retorycznej.

Poezja retoryczna w typie uprawianym przez Swinarskiego posiada swoisty wydźwięk. Przez retorykę poetycką rozumiemy zazwyczaj podnoszenie głosu przez poetę, by był lepiej słyszany. Retoryka kojarzy się z pojęciem estrady i zupełnie o tym nie przesądza, czy nurt wewnętrzny danej liryki jest chłodny czy rozżarzony uczuciowo. Pełne są retoryki wiersze Łobodowskiego, nie brakowało jej u Staffa; podstawy przeciwne, choć wyraz słowny zbliżony.

U Swinarskiego znajdujemy rodzaj inny. Jest to retoryka, żeby tak powiedzieć — odśrodkowa, wewnętrzna. Tam, gdzie inni poeci w mechanizm poetycki mają wprawione bezpośrednie zwroty liryczne czy obrazy zastępcze, Swinarski zdaje się mieć wprawione gotowe frazy i zdania. Frazy rozsądne i wymierne nawet w patosie, a już najdalsze od jakiejkolwiek awantury poetyckiej w wyrazie uczuć czy w budowie obrazu. Jeżeli dodać, że poza sferą retoryki, jedynymi rekwizytami, jakimi Swinarski chętnie się posługuje, są skojarzenia mitologiczne i klasyczne, struny jego liry — by przejść na chwilę na styl poety — nastrojone są na ton całkiem pseudoklasyczny.

Dlatego, kiedy opiewa, najmniej dowiadujemy się o przedmiocie opiewanym. „Słowo o Gdyni" mogło być słowem o każdym nieledwie porcie. Dlatego nawet zmierzające ku patosowi obrazy posiadają u niego ten sam realizm, jaki Horacy zalecał pseudoklasykom:

> **Ujrzały wówczas Wielki Wóz tak nisko**
> **w portowych iskier wryty kłębowisko,**
> **jak gdyby drogą rozognione osie**
> **i koła studzić chciał w Okeanosie.**

Ci z pseudoklasyków, którzy, jak Cyprian Godebski, Kantorbery Tymowski czy Andrzej Brodziński, otarłszy się nieco po świecie wśród napoleońskich przygód, nie tylko wśród nimf i pasterzy bywali, nie powstydziliby się podobnych strun. Ze współczesnych brzmi w uszach „Poemat o Warszawie", ale w Karpińskim było więcej obserwacji konkretnych szczegółów, nabytej w szkole Skamandra.

Swinarski rozgrzewa się rzadko. Czyni to albo z odległości albo dopiero tam, gdzie chodzi o pewien akt intelektualny. Z wierszy o morzu i nad morzem pisanych tylko dwa, pisane nad miechowską rzeką Szreniawą, posiadają prawdziwy zapach morza („Wiatr od morza" „Mgła"). „Może przyszedł wbrew rzece, może Wisłą przypłynął" — Bałtyk. Ale naprawdę Swinarski rozgrzewa się dopiero tam, gdzie ponosi go pewna pasja intelektualna, pasja paradoksalna i przez to trafna: „Błogosławieni ubodzy" oraz „Święcić pożar". Są to utwory w zarodku swoim satyryczne, w sensie ostatecznym dydaktyczne, lecz w gorący, niespokojny sposób. Szczególnie wiersz nakazujący „święcić pożar, święcić pożar ksiąg pielgrzymstwa polskiego" jest słusznym dokumentem niecierpliwości wobec cierpiętniczego biegu naszej historii, dokumentem, który na swój sposób przywodzi na myśl pisarza patronującego podobnym wybuchom — Nowaczyńskiego i jego „Meandry". Mocny ten i odważny utwór jest niewątpliwie najlepszy w tomie, a również na tle liryki innych poetów zapamiętuje się jego silny i męski ton.

Żałować wypada, że w omawianym tomiku tak rzadko Swinarskiego ponosiła pasja. Bo tam, gdzie jest opanowany, wychodzą mu tylko gładkie frazy. Tam, gdzie go ponosi, wychodzą mu piękne wiersze. Niech więc jak najczęściej się zżyma. Jak najrzadziej opiewa.

Kazimierz Wyka

Przegląd teatralny

W TEATRACH KRAKOWSKICH

Losy pisarza w przeciwieństwie do losów innych ludzi nie kończą się wraz ze śmiercią. Przeciwnie! Wtedy się dopiero naprawdę coś zaczyna. Koledzy się rozstępują, jednego przestają zasłaniać, innego podtrzymywać i pisarz, który zgasł, idzie albo na dno zapomnienia albo też odświeżony nową przygodą powstaje wybornie dysponowany do nieśmiertelności. W głębi za nami, w przeszłości dalszej i najdalszej odbywa się identyczny ruch. Niektórzy się podnoszą, inni kładą ostatecznie, nikt na wyznaczonej półeczce nie jest sztywno umieszczony jak kura na grzędzie albo święty pański na swoim szczeblu drabiny doskonałości. Nieśmiertelność w sztuce właśnie polega na ruchu, tam i sam, w górę w dół, na podobieństwo akcji przedsiębiorstw, które nie wyszły z kursu. Ale szczególnie groźna dla zmarłych bywa wojna. Weryfikuje bez litości. Z pierwszych rzędów przerzuca w mroki otchłani, lecz również przyczynia się do niejednego zmartwychwstania. I tak np. podczas okupacji Zapolska na naszych oczach dźwignęła się z zapomnienia jako powieściopisarka. Bo w tym czasie jej powieść straciła najgroźniejszą swoją konkurentkę, a mianowicie Zapolską jako autorkę sceniczną. Ci, na których nazwisko jej działało, nie mogąc natrafić na nie w teatrze, poszukiwali Zapolskiej w książkach; w nich odnaleźli walor dla siebie nowy. Oto na złe strony książek Zapolskiej stali się mniej wrażliwi. O autorce „Przedpiekla" każdy wiedział, że byłaby to nasza najlepsza powieściopisarka, gdyby nie należała do najgorszych. Jej sławny materiał obserwacyjny, wspaniałe realia, figury tak celnie zobaczone, że aż się zimno robi, niestety upaprane były w egzaltacji, deklamacji i admonicji, w przyprawach przesadnych, często śmiesznych. Ale każda wojna mityguje wrażliwość na formę. Na sos i sposób. A ta ostatnia działała szczególnie paraliżująco na nasze ośrodki zachwytu nad majsterstwem. Dobry był pisarz byle jak gadający, byle tylko miał coś naprawdę do powiedzenia. Zapolska miała.

Ale istotny wzgląd, dla którego nasza zmartwychwstanka tak nas dziś pociąga, ujawnił mi się dopiero przy ponownym zetknięciu się z jej teatrem. Zapolska nie żyje na nowo tylko tym, że coś mówi, ale przede wszystkim tym, przeciw komu ona to mówi. Tym, kogo bierze na muszkę. A jest nim owo dla bardzo wielu zagadkowe i prawie mityczne drobnomieszczaństwo. Powiadam zagadkowe, ile że termin ten, który w socjologii i ekonomii posiada swoje znaczenie, często bywa przez nas traktowany jako wyłącznie polityczny, doktrynalny, szykanujący. A przecież odpowiada mu pewna rzeczywistość. Któż wątpi o istnieniu Daumów i Dulskich? Któż broniłby tezy, że to tylko takie wyjątki w środowisku całkiem odrębnym? Nie, to przecież zupełnie wyraźnie „fragmenty większej całości". Na całym froncie bierze się do nich Zapolska. W ataku swoim wyróżnia małe mieszczaństwo, widzi je jako osobną kastę. Po „Moralności pani Dulskiej" porównywano Zapolską z Molierem. Jednak lepiej ją wyjaśnia porównanie z Beaumarchaisem z „Wesela Figara" czy Diderotem z „Kubusia". Tamci antyszlacheccy, ta antymieszczańska. Schemat pozycji bojowej pisarza przeciw pewnej klasie i tu i tam jednaki. Ale i różnice są. U Zapolskiej mniej humoru, więcej zajadłości. Bo też Francuzów arystokracja, przeciw której się obrócili, próbowała obłaskawić, Zapolską, znienawidzoną przez nią klasa szczotkowała pod włos. Prócz odmiennych dyspozycji biograficznych ponurego tonu przyczyniają Zapolskiej niejasności jej pozytywnych postulatów. Diderot czy Beaumarchais walczyli o to, aby oskubać ówczesną górę społeczną z przywilejów i przenieść je na mieszczaństwo, sferę, która budziła w nich pełną ufność. Stąd ich optymizm. Zapolska w sto lat potem szturmuje warstwę, która tymczasem obrosła w dostojeństwo, posiadła sytość ekonomiczną, stała się źródłem prawa i moralności. Wybornie kompetentna, zna ten świat na palcach. Zna na pamięć jego przepisy, jego ceregiele, jego chłód i jego okrucieństwo. Ona, która raz za razem przez całe życie doznawała osobiście czym są Dulskie i która, że tak powiem, na sobie wypróbowała, jacy są ci wszyscy panowie Daum i Boguccy, jest przeciw nim. Przeciw takim Daumom, albo ściślej przeciw Daumom takim. Przeciw takim, jacy są. Ale w takim razie za jakimi? Za kim? Za czym?

Pisarza rewolucyjnego różni od pisarza zachowawcy nie sam fakt widzenia zła. Widzą je obaj. Lecz u pisarza nierewolucyjnego obserwacja zła krystalizuje się wokół postulatu, żeby zło było lepsze, podczas gdy pisarz rewolucyjny kładzie nacisk na konieczność zła przy danej strukturze. Zapolska, która groźnie się burzy, przy oskarżaniu znienawidzonego mieszczaństwa, jako wizjonerka udoskonalonej formy istnienia, wypada słabo. Walczy o lepszego Dauma, a nie o lepszy świat. I tu już daleko jej do Diderota. W proteście mu bliska, celująca, obcina się przy programie. Jej „Maliczewską" można uważać za programowy utwór w walce o polepszenie warunków bytu dziewcząt idących na utrzymanie. Zapolska jest tu naturalnie całym sercem po stronie pracodawczyń przeciw pracobiorcom, a raczej po stronie dawczyń przeciw biorcom. Wyzysk ją oburza, lecz nie sam stosunek. Oczywiście, że słuchając „Maliczewskiej", musimy się z lekka cofnąć wstecz, pisano ją w r. 1912, w epoce, kiedy dyrektor teatru młodziutkiej aktorce na zapytanie, jaką będzie miała gażę odpowiadał: „Taka młoda i ładna — i jeszcze potrzebuje gaży" (według St. Jaracza). Ale nawet przy tych koncesjach na rzecz epoki, godząc się, że podówczas akcent główny w krytyce podobnych sytuacji paść musiał na to, że prowadzą do krzywdy, wolałbym imieniem słuchaczy współczesnych, by nie brzmiał jako akcent jedyny. Bo punkt newralgiczny zdarzenia nie leży tu w wyzysku. Nie nędza pcha Maliczewską co Dauma, ale pewne wymogi startowe. Maliczewska nie jest nierobem, z teatru wraca zharowana, lecz na starcie zarabia za mało. Jakaś kasa musi do jej początków dopłacać. Przy poprawniejszej niż u Zapolskiej diagnozie wypadku z Maliczewską namacać się da bardzo wyraźnie zło, które ma na imię: nierówność startu życiowego. Najtęższy argument przewrotów.

W teatrze im. J. Słowackiego „Panna Maliczewska" wypadła ciekawie. Zdecydowanie kostiumowa, w dekoracjach naturalistycznych **K. Gajewskiego**, kto wie czy nie za szczegółowych, w reżyserii **K. Frycza**, wyraziście traktujących drugi akt jako interludium w środku pozostałych, pełnych cienia, jest wznowieniem oryginalnym. Do specyficzności widowiska, choć już całkiem na swój rachunek, przyczyniła się kreująca Maliczewską młodziutka **Lidia Próchnicka**. Z pełną smaku i zrozumienia konsekwencją ukazała nam Maliczewską niejako murgerowską siostrzyczkę Mimi z „Cyganerii". „Pannę Maliczewską" grywa się co jakiś czas. Niewątpliwie warte widzenia było ujrzeć ją raz taką z poddasza zamiast tej zwykłej z suteren. Ciekawa odmiana. Zwłaszcza, że odmiana odmianą, ale poza tym podziw budzące warunki i talent budzący sympatię, powściągliwy, nowoczesny. Bezbłędnym Daumem był **Szubert**, w akcie trzecim, już po katastrofie znakomity, doskonałą Daumową **M. Gella**, interesującą Michasiową **M. Bednarska**, przekonywującym Boguckim **E. Solarski. Kaliszewski** jako Filo miał bardzo szczęśliwe momenty. Jego koleżkowie (uczniowie Studia) jak jeden mąż wszyscy udani.

Tadeusz Breza

ŻYCIE TEATRALNE W CHEŁMIE

Nie bardzo podłe miasto Chełm stało się w lipcu ubiegłego roku historycznym. Wszak tutaj P.K.W.N. ogłosił manifest, tutaj ukazał się pierwszy numer pierwszego pisma w wyzwolonej Polsce — „Rzeczypospolitej". Może więc i z tych względów nie od rzeczy będzie poświęcić nieco uwagi poczynaniom kulturalnym na gruncie tego miasta.

Otóż dzięki inicjatywie lubelskiego wojewódzkiego Wydziału kultury i sztuki powstał tu Teatr Ziemi Chełmskiej, czynny w każdą sobotę i niedzielę. Dyrektorem jego jest poeta **Jan Szczawiej**, a duszą, dekoratorem, reżyserem i jednym z lepszych aktorów **Jerzy Ukleja**. Ta pożyteczna placówka kulturalna ma poważne, wcale nie prowincjonalne ambicje i mimo iż zespół teatralny nie składa się z zawodowców lecz amatorów, może poszczycić się nieprzeciętnymi osiągnięciami. Letni sezon siłą rzeczy zasiliły sztuki lżejsze. Na otwarcie teatru wystąpiono z głupią lecz wesołą farsą Frideux „Sposób na żony". Ale już następnie odegrano molierowskiego „Grzegorza Dyndałę" (nawiasem mówiąc Moliére w Chełmie modny: teatr szkolny liceum pedagogicznego wystawił w czerwcu „Chorego z urojenia" i „Lekarza mimo woli") i widowiska bynajmniej nie sparodiowano. Obecnie teatr gra „Znajdę" Niewiarowicza, po której przyjdzie kolej na „Głupiego Jakuba" Rittnera. Sezon jesienny zainauguruje „Zaczarowane koło" Rydla. Repertuar zatem świadczy o dużym poczuciu odpowiedzialności kierownika. A w projekcie jest wystawienie „Teorii snów Freuda" Cwojdzińskiego, „Candidy" Shawa, klasyków polskich i sztuk napisanych w czasie okupacji.

kaj

PRZEGLĄD PRASY

Przeobrażeń, jakie w dziedzinie kultury się odbywają i rzecz jeszcze ważniejsza, jakie się odbędą, nie dokona rozporządzenie władz państwowych. Ustawa lub dekret może jedynie umożliwić lub przyśpieszyć realizację programu reform, program ten jednak musi być jak najszerzej przemyślany, przedyskutowany i na oczach społeczeństwa opracowany.

Całe społeczeństwo winno brać udział w tworzeniu dzieła, które jest zbyt ważne i zbyt trudne, by mogło wyłonić się z samego nań oczekiwania. Reforma oświatowa, zagadnienie społecznego rezonansu literatury i sztuki, przebudowa światopoglądowa, wypracowanie podstaw programowych tej przebudowy — to sprawy równie zasadnicze jak materiałowa odbudowa kraju i równie ważne miejsce w świadomości ogółu winny zajmować. Czy zajmują?

Czytając dochodzącą od wypadku do wypadku codzienną prasę francuską, jesteśmy świadkami intensywności kulturalnej Francji. Sprawa łaciny np. w programach szkolnych zajmuje tam miejsce równorzędne ze sprawą aprowizacji i analogiczne do reformy prawa małżeńskiego u nas. Francuz pasjonuje się zagadnieniem odbudowy kulturalnej swojego kraju i chce mieć wpływ na kierunek tej odbudowy.

Czy u nas, gdzie waga problemów kultury jest powiększona o wymiar niezbędnych reform, namiętność społeczeństwa wagę tę ogarnia? Czy zagadnienia centralne zostały przed ogółem postawione wyraźnie i jaką one reakcję wywołały?

Odpowiedzi na postawione pytania w prasie codziennej nie znajdujemy, a prasa ta jest przecież sprawdzianem zainteresowań ogółu, jest zarazem jego przewodnikiem podręcznym.

Stosunek codziennej prasy informacyjnej do zagadnień kultury jest wyraźnie uzewnętrzniony i nawet technicznie wyodrębniony. Każde nieomal pismo codzienne posiada dodatek literacki, który legitymuje, a przynajmniej ma legitymować rzetelność tego stosunku. Otóż czy istotnie? Czy dodatki literackie spełniają funkcję uświadomiania społeczeństwa i skierowywania jego uwagi na sprawy kultury? Czy szerzą słuszne zainteresowanie literaturą i sztuką, i pogłębiają jej znajomość?

Wydaje się, że jedyną usprawiedliwiającą istnienie funkcją literackich dodatków winno być popularyzowanie i szerzenie znajomości naczelnych spraw kultury oraz wykształcenie zainteresowania społecznego tymi sprawami. A sprawy te nie są przecież jakąś plazmą, niejasnym ogólnikiem, którego interpretowanie może być dowolne. Zostały określone, a przynajmniej ramowo przedstawione w periodykach społeczno-literackich w formie propozycji, a niekiedy jako wypracowane postulaty. „Kuźnica", „Odra", „Twórczość", „Odrodzenie" opublikowały niejedną wypowiedź istotnie ważną; od jej przemyślenia społecznego zależeć może kierunek przyszłych przeobrażeń kulturalnych. Wydawało się, że pojawienie się niektórych artykułów wywoła niekończącą się polemikę, która wprowadzi w krew prawdy zaniedbywane dotychczas na skutek braku jasnych ich sformułowań. A tymczasem jak gdyby nigdy nic, trwa stan oczekiwania, adwent intelektualny.

Czy którekolwiek pismo codzienne na swoich łamach „zwyczajnych" czy też w dodatkach literackich kontynuowało ten wysiłek wyznaczania celów i charakteryzacji spełnień? Czy którekolwiek pismo codzienne, oprócz „Dziennika Polskiego", sygnalizowało ich ważność? Ograniczano się w najlepszym razie do omówień ogólnych samych periodyków, wyzyskując do tego celu, jakby na usprawiedliwienie własne, jakąś okazję jubileuszową. A przecież sprawa reformy studiów wyższych („Kuźnica"), sprawa programu kulturalnego („Kuźnica" i „Odrodzenie"), problem inteligencji („Odra"), wymagają dyskusji, uzupełnień. Od podjęcia polemiki wokół tych spraw zależy rozbudzenie świadomości kulturalnej społeczeństwa.

Milczenie zupełne, omal cisza grobowa, sprawia wrażenie przemilczania. Czyżby tak było? Czyżby to był również jeden z przejawów czyjegoś programu kulturalnego?

„Jest znamiennym, lecz bardzo smutnym faktem — pisze w nr 8 **„Kuźnicy"** Witold Kula — że chociaż minęło już kilka tygodni od ukazania się w „Odrodzeniu" programowego artykułu Stefana Żółkiewskiego: „O pozytywny program kulturalny" — nie odezwały się dotąd żadne głosy czy to polemizujące, czy też uzupełniające". „A tymczasem idzie o wielką rzecz: o to, by kultura nie pozostała w tyle za dokonywującymi się przemianami. Trzeba wszechstronnie dyskutować na wielką skalę zakrojony pozytywny program kulturalny. Trzeba gruntownie przemyśleć środki jego realizacji. Podana przez Żółkiewskiego pierwsza próba pozytywnego programu kulturalnego wymaga przedyskutowania zarówno co do swoich podstaw konstrukcyjnych, jak i co do treści".

Oczywiście trudno wymagać od pism codziennych wniesienia tych uzupełnień i przedyskutowania dogłębnego, lecz pierwszym ich obowiązkiem jest zapoznanie ogółu z założeniami podstawowymi programu, chociażby w formie streszczenia, by budzić samodzielność myślenia.

Dodatki literackie na ogół naśladują mierne lub złe pisma czysto-literackie. I to nie w osiągnięciach, lecz w ambicjach tylko. Nie wychodzą poza problematykę literacką w najwęższym tego słowa znaczeniu. I tak nie wydaje się, by było celowe przenoszenie na ich łamy dyskusji wokół zagadnienia tak formalnego, jak styl w literaturze i kategoryczne urabianie opinii w sprawie bynajmniej nie przesądzonej. Nie wydaje się również słuszne skupianie uwagi wokół problemów historyczno-literackich, jak to czyni „Kurier Codzienny". A już błędem niewybaczalnym jest popularyzowanie nieświetnej literatury przez publikowanie błahych opowiadań i fragmentów powieściowych w dodatku „Rzeczpospolitej". Szczególnie teraz w okresie braku nowych książek i nieograniczonej chłonności czytelniczej, każdy fałszywy krok oddala społeczeństwo od literatury.

Nie wydaje nam się rzeczą możliwą, by stan niskiego napięcia intelektualnego prasy codziennej dał się utrzymać. Albo podnieść poziom, albo zlikwidować „dodatki", które tak często spełniają tylko rolę symbolu.

Pisma codzienne są powołane do ważnej społecznie funkcji: pośredniczyć, informować, wzbudzać pragnienia intelektualne. Winny pełnić rolę rzetelnego przewodnika. Szerzyć zainteresowanie sprawami kultury przez konkretne zwracanie uwagi na publikacje wartościowe.

Brak książek jest przecież, ułamkowo, ale jednak, kompensowany przez wydawnictwa periodyczne. Ukazały się dwa tomy „Twórczości", będące pięknym prospektem literatury współczesnej. Objawili się tam nowi utalentowani pisarze; przedstawienie ich społeczeństwu, zapoznanie z ich twórczością chociaż tak fragmentaryczne, jak to jest możliwe — oto nie obowiązek tylko, ale przywilej prasy codziennej. Przecież ona może dosłownie zobowiązać ogół do ich czytania.

Na zjeździe literatów postanowiono między innymi wywrzeć na Ministerstwo Informacji i Propagandy oraz spółdzielnie wydawnicze nacisk, by redagowanie „dodatków" powierzano wyłącznie członkom Związku Literatów. Decyzja ta wypływa z dobrze rozumianego interesu literatury. Bo prasa codzienna wykształca rezonans społeczny na zjawiska sztuki.

Zagadnienia programu kulturalnego są przejawem życia literackiego, dowodem jego intensywności. Milczenie wokół nich może sprawiać wrażenie, iż są one oderwane od społecznego podłoża. I rzecz paradoksalna, wówczas nawet, gdy poczucie związku z tym podłożem jest tych zagadnień kulturalnych genezą. Czyżby lenistwo myślenia miało warunkować nasz kulturalny rozwój?

Problematyki programów kulturalnych sfałszować się nie da. Nie sprawi tego ani milczenie z nieudolności ani przemilczenie ze złej woli. Może się tylko opóźnić rozwój przeobrażeń, lecz nie zmieni się ich kierunek. Od prasy codziennej, od tych, oby jak najpopularniejszych, dodatków literackich zależy usuwanie przeszkód w niewiedzy mających swe źródło. Miejmy jednak nadzieję, że uświadomiwszy sobie własne zadanie staną się owe „dodatki" ważnym czynnikiem uświadamiającym społeczeństwo.

zb

Sprostowanie

W artykule Józefa Sieradzkiego „Z każdym świtem umieraliśmy" w nr 47 na stronie pierwszej, w ostateniej szpalcie, w wierszu ósmym od dołu zamiast „wielki komtur zbójnickiego zakonu", winno być: „wielki komtur **zbójeckiego** zakonu".

PO PROSTU

Dwie miary

Za czasów okupacji dostawałem czasami przegląd prasy wydawany przez którąś z grup podziemnych i poświęcony wyłącznie artykułom, jakie za granicą ukazały się o sprawach polskich. W tym świetnie zresztą redagowanym i, oczywiście poufnym przeglądzie znalazłem raz niezmiernie charakterystyczną polemikę dwóch znanych publicystów angielskich na temat warszawskiego ghetta. Jeden z nich, liberał, opisywał stosunki, jakie panowały w ghetcie warszawskim mniej więcej zgodnie z prawdą. Drugi, konserwatysta i poseł do Izby Gmin nie chciał wierzyć w przytoczone fakty. „Twierdzenia mojego szanownego kolegi — tak mniej więcej zaczynał się jego artykuł — nie budzą, muszę przyznać z głębokim żalem, pełnego zaufania. Pisze on bowiem, że Niemcy zamknęli w warszawskim ghetcie ponad 400 000 Żydów. Otóż, po pierwsze, według wszystkich danych statystycznych, Warszawa nie liczyła nigdy więcej niż 300 000 mieszkańców. Nie mogli to być oczywiście sami Żydzi i skądże by ich liczba wzrosła w czasie wojny o jedną trzecią. Po drugie trudno sobie wyobrazić, aby można było otoczyć murem i zamknąć kilkaset tysięcy ludzi. Twierdzenie takie sprzeczne jest nie tylko z elementarnym doświadczeniem każdego z nas, ale urąga również zwykłemu zdrowemu rozsądkowi. Sądzę, że mój szanowny przeciwnik zaufał zbyt pochopnie dostarczonym mu stronniczym wiadomościom. Jest bowiem rzeczą powszechnie znaną i opisywaną w podręcznikach geografii, że Żydzi we Wschodniej Europie często wznoszą wokół swych siedzib mury na pamiątkę Muru Płaczu w Jerozolimie. Otóż prawdopodobnie lekkomyślni informatorzy mojego kolegi wzięli owe pamiątkowe mury za mur wzniesiony przez Niemców. Podobną omyłkę popełnił niedawno pewien znany pułkownik naszej służby wywiadowczej, który podróżując po Borneo wziął nieopatrznie suszarnię ryb za świątynię, w której wyprawia się skóry pokonanych wrogów".

W parę tygodni po tym artykule nastąpiła likwidacja ghetta w Warszawie. Można się śmiać z wywodów konserwatysty angielskiego, można i oburzać. Nie był on wyjątkiem. Zagraniczni politycy do wojny niewiele więcej wiedzieli o Polsce od pucybutów na Downing Street i właścicieli bistro w Paryżu. A co wiedzieli o nas właściciele bistro?

Pamiętam jak poczciwy épicier paryski, u którego ze Zbigniewem Bieńkowskim i Julianem Przybosiem kupowaliśmy kruche croissanty na śniadanie, spytał nas o wrażenia z polowań na niedźwiedzie. Zbyszek Bieńkowski na to ze śmiertelną powagą w głosie: **„Indubitablement, M'sieur,** ścigany przez wielkiego białego niedźwiedzia, ocaliłem życie, wskakując do pędzącego tramwaju". Naszego dostawcę rogalików jedno tylko zdziwiło — że w Polsce są tramwaje. Toteż bez cienia niedowierzania wysłuchał dalej pięknego opowiadania Zbyszka o narodowej grze polskiej w „kukułkę". **„On joue chez nous au cou-cou, Monsieur.** Gasi się światło, jednemu z grających zawiązuje oczy i podaje nabity rewolwer, a drugi ucieka, „et l'autre, voilà! Monsieur, crie cou-cou!" — „Lecz cóż się wygrywa?" — C'est un jeu desintéressé, Monsieur. Kto wygrywa — żyje, kto przegrywa... — „C'est un jeu terrible!" Nie zapomnę nigdy twarzy Zbyszka, kiedy głęboko wzruszony kończył melodramatyczne opowiadanie: **„Mon père a été tué de cette façon".**

Przed wojną nas to bawiło. Wojna oduczyła nas jednak żartów, oduczyła przede wszystkim pobłażliwości dla głupoty i ignorancji. I dlatego nie śmieszy mnie i nie bawi, kiedy w „New York Times" niejaki Mr. Adam Schmidt pisze: „Według informacyj emigrantów polskich, których nazwisk nie można na razie podawać... polska tajna policja tak zwana **SPB** w czasie łapanek aresztowała wiele osób poprzednio wywiezionych przez Niemców". (Biedne SPB, na którym suchej nitki nie zostawia nasza prasa, stało się nagle niemal Intelligence Service).

Nie śmieszy mnie i nie bawi, że poseł londyńskiego uniwersytetu Sir Graham Little wygłosił w Izbie Gmin dłuższą przemowę „o okrutnym terrorze, jaki stosują w czasie przeprowadzanych obecnie wyborów specjalnie mianowani komisarze, w ilości po jednym na 18-tu głosujących". Sir Graham Little ma na swoje usprawiedliwienie starość, reumatyzm i wilgotny klimat Londynu. Ale co ma na swoje usprawiedliwienie korespondent Associated Press, który z Warszawy nadał do pism zagranicznych taką oto wiadomość:

„Czerwone noce w Warszawie. Wojna skończyła się, ale na ruinach Warszawy wciąż jeszcze rozlegają się strzały, zaś ciemność zaludnia się co noc setkami duchów. Jest niebezpiecznie wyjść z domu w pojedynkę i bez broni po zapadnięciu nocy. Dyplomaci angielscy, amerykańscy, bułgarscy, szwedzcy, duńscy, luksemburscy i belgijscy mieszkający w hotelu „Polonia" zorganizowali własną ochronę zbrojną... Tysiące młodych blond dziewcząt polskich biorą udział w tych bitwach, które odbywają się w nieoświetlonych uliczkach i zaułkach. Wszyscy są uzbrojeni w karabiny i erkaemy. Strzały rozpoczynają się natychmiast po nastaniu nocy. Słyszy się również krzyki kobiet, skargi i jęki. Prawdziwe boje toczą się pod oknami ambasady Stanów Zjednoczonych. Kto strzelał i kogo zabito? Nikt się tym nie interesuje i wszyscy zdają się kpić z tego. Kiedy salwy milkną, rozlega się nagły huk eksplodującej miny niemieckiej, co wcale nie przeszkadza Polakom masowo kręcić się po Warszawie nocą i uczęszczać do trzech teatrów i dwóch obecnie czynnych kin".

W Warszawie rzeczywiście słychać po nocy strzały. Wielu żołnierzy naszej młodej armii i milicji lubi niestety strzelać o północy na wiwat. Nie jest to ładnie, ale mamy gorsze zmartwienia. Strzały po nocy nie dały zapewne zasnąć korespondentowi Associated Press przy boku uroczego „blond dziewczęcia" w luksusowym pokoju hotelu „Polonia". I wszystko mu się pokręciło: blondynki i Marlena Dietrich, filmy z Dzikiego Zachodu i okrzyki sprzedających wędliny i masło na placu obok hotelu.

A teraz poważnie. Niech mi nikt nie mówi, że to jest ignorancja i głupota. To zwykła zła wola. Korespondenci z Associated Press podają do swoich gazet nie tylko opisy majaczeń sennych w Warszawie, podają również wiadomości o położeniu ludności niemieckiej w Polsce. Wiadomości te są równie fantastyczne, ale ton ich i treść jest zupełnie inna. Oto „Chicago Daily News" przynosi następujące wiadomości swego korespondenta Wiliama Stonnemana: „Z pierwszej ręki dowiadujemy się, że ludność niemiecka na terenach Polski Zachodniej ewakuowana jest w duchu zapamiętałej bezwzględności, co wpływa w okropny sposób na całość zagadnienia wychodźców. Setki tysięcy niemieckiej ludności cywilnej wyrzuca się z tych terenów bez żadnego bagażu na teren władz sojuszniczych. Pośród tych ludzi panuje tyfus brzuszny..."

W innej znowu korespondencji czytamy o „wysiedlaniu Niemców w ciągu najkrótszego czasu bez możności zabrania czegokolwiek, o głodzie, chłodzie i bez opieki lekarskiej".

Biedni Niemcy... znamy tę piosenkę sprzed 25-ciu lat. Czy chcecie raz jeszcze posłuchać? Oto „Manchester Guardian": „Musimy dołożyć wszelkich starań, aby zarządzać Niemcami w sposób sprawiedliwy, dopóki nie staną się oni **znowu** zdrowym i demokratycznym narodem". To małe słówko „znowu" nie jest pozbawione swoistego wdzięku. Albo może wolicie posłuchać londyńskiego „Spectatora": „Konieczne jest przeprowadzenie wspólnej akcji mocarstw okupacyjnych celem zaspokojenia potrzeb nieszczęśliwych mas niemieckich i uniknięcia **możliwości powtórzenia się** dalszych wysiedleń".

W tym szaleństwie jest metoda. Bo oto w tym samym czasie, kiedy w Paderborn skazywano na śmierć Polaków, generał Montgomery wydał następujący rozkaz: „Członkowie sojuszniczych sił zbrojnych nie mogą kwaterować u rodzin niemieckich, ani żenić się z Niemkami. Natomiast mogą zapraszać Niemców na zaprawy sportowe, na boiska, na tańce, do kantyny, odwiedzać rodziny niemieckie i utrzymywać z Niemcami normalne stosunki towarzyskie".

Czy pamiętacie wierszyk Tuwima? „Kto się odważy, kto się odważy, kto się odważy jeszcze raz?"

Jan Kott

Wszystkie wydawnictwa, nadsyłane do redakcji, będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

Przegląd filmowy

Film sowiecki nie przeżywa kryzysu. Przeciwnie — jest świadomy swojego programu i zbiera doświadczenia z ostatniej wojny, syntetyzuje je, określa, wyciąga wnioski. Można by powiedzieć, że sprawa obrachunku z tą niedawną przeszłością jest głównym motywem rosyjskiej sztuki filmowej.

Jakże mogłoby być inaczej! Czy narody, które mają takie przeżycia za sobą jak rosyjski, polski nie powinny zwrócić całego wysiłku twórczego właśnie w tym kierunku? Okazuje się, że nawet tu mała perspektywa, ten czas niewielki daje już możność wniosku, konstrukcji i z a m k n i ę c i a.

Takie filmy jak „Nr 217" czy „Najazd" — to bynajmniej nie reportaże tylko, to dzieła sztuki z widocznym artystycznym stylem.

Film „Nr 217" obrazuje dolę niewolników słowiańskich w „praworządnym" systemie hitlerowsko-germańskim. Wywózka na roboty do Niemiec, to ta zresztą najłagodniejsza forma faszystowskich represji i gwałtu. Scenarzysta pokazuje nam, w jaki sposób przeciętny, „dobroduszny" Niemiec obchodził się z kupionymi na oficjalnym targu ludźmi. Wszyscy Niemcy to plemię, nie, stado, zaczadziałe groźną religią rasizmu. Nauką i wychowaniem, które odbiera człowiekowi jego ludzką przytomność. Niemcy żyli zawsze w fantastycznym śnie historycznym, ale faszyzm wprowadził ich bez reszty w specyficzną ekstazę — i budzili się dopiero może u progu śmierci. Ale czy ci, którzy jej uniknęli, mają możliwość powrotu do realnej ludzkiej rzeczywistości, jakiej dogmatem jest prawda w s p ó ł ż y c i a?

Reżyser i aktor sowiecki ma nadzwyczajną umiejętność przedstawiania tej na pół szatańskiej, na pół groteskowej „ekstazy" niemieckiej. Figury Niemców przedstawiane są typem nowej artystycznej sugestii. Wywodzi się ta sztuka na pewno z podstaw rosyjskiego realizmu. Ale jest to realizm naprawdę nowy, dynamiczny, pełen ekspresyjnej plastyki.

Film „Najazd" pokazuje nam niejako genezę tego stylu. Jest w tym filmie coś z atmosfery przedrewolucyjnej Rosji — nie tylko dzięki refleksjom tematycznym. Głównie dzięki zachowanej kulturze aktorskiej. Obraz jest przekrojem zróżnicowanej psychologii ludzkiej: zbrodni i poświęcenia — kary i ekspiacji. Patrząc, przypominamy sobie wszystkie najświetniejsze walki literatury rosyjskiej: Dostojewskiego, Czechowa, Zoszczenkę, przede wszystkim Gogola. Pogrobowe typy, budzące się na chwilę, zakwitające z pomocą najeźdźców, przedstawione są w całej ohydzie najniższych cech ludzkich. Typy plastyczne, groteskowe, ale jakie ludzkie! Niemcy są znowu żywiołem posłusznie działającym, jakby pod wpływem anonimowej siły. Realizm niektórych scen jest tak „wysoki", że zadowolić mógłby nawet nadrealistów. Bo jest to właśnie typ najwyższej gry i najwyższej prawdy jednocześnie. Dynamika ludzka — dramatu i komedii — przedłużana, przetrzymywana na wadze syntezy.

Film dokumentarny „Berlin" zamyka w doskonałych skrótach największy w historii wysiłek — niezrównane bohaterstwo człowieka i zupełne posłuszeństwo potwornej techniki dla najbardziej ludzkich celów. Tylko przez śmierć Berlina mogło w Europie zrodzić się znowu ludzkie życie.

Stefan Otwinowski

Z życia muzycznego Krakowa

Inauguracyjny koncert Filharmonii krakowskiej na otwarcie sezonu przyniósł jedno z największych arcydzieł nowoczesnej muzyki polskiej i europejskiej: I koncert skrzypcowy **Karola Szymanowskiego.** Dzieło w swoim rodzaju jedyne, stawiające wykonawcom zadanie bardzo trudne: „koncertującym" elementem są tu nie tylko skrzypce, jest nim w równym niemal stopniu cała orkiestra, z której masy występują coraz inne partie solowe, a całość ma na względzie przede wszystkim barwę. To też wykonawcom ostatniego koncertu należą się słowa wysokiego uznania. Orkiestra pod batutą **Zygmunta Latoszewskiego** brzmiała bardzo dobrze, mieniła się wszystkimi kolorami, iryzowała, potrafiła dać wrażenie owej rozedrganej, migocącej powierzchni dźwiękowej, która niewątpliwie była zamierzeniem kompozytora (jakże pięknie zagrany był wstęp!). Na jej tle snująca się nieskończenie, ciężka od ornamentów i nabrzmiała emocją melodia skrzypiec, solo, zagrana była przez **Eugenię Umińską** z wielkim artyzmem, muzycznie głęboko odczuta, technicznie wykonana z maestrią.

W porównaniu z przedziwną tą kompozycją zbladły wszystkie inne utwory zawarte w programie koncertu. Zbladł nawet utwór **Karłowicza** „Stanisław i Anna Oświęcimowie", niewątpliwie dzieło wielkiego talentu, ale dla dzisiejszego słuchacza już nieco przebrzmiałe w swym wielkim, każdej chwili odczuwanym entuzjazmie dla niemieckiej muzyki powagnerowskiej, zwłaszcza dla Ryszarda Straussa. Wprawdzie instrumentacja Karłowicza jest świetna (w swoim czasie była nawet rewelacyjna), a jego możliwości wyrazowe i zdolność wydobywania z tematów muzycznych coraz innych odcieni uczuciowych świadczą o dużej twórczej sile, jednak w całości jest to jeden z mniej interesujących i przekonywających utworów Karłowicza.

Powtórzenie „Kościoła Panny Marii" z „Tryptyka toruńskiego" **Piotra Perkowskiego,** było pomysłem szczęśliwym. Każdy z utworów nowych powinien być publiczności pokazany dla lepszego zrozumienia kilkakrotnie. Nie stosuje się to do Uwertury **Szałowskiego:** należy ona do typu kompozycji, których za częste wykonywanie grozi niebezpieczeństwem. Jej żywość, pełnia temperamentu i owa nuta specyficznego, choć w dobrym stylu, efekciarstwa, bawią za pierwszym razem, ale powtarzane — gdy już przywykliśmy do dowcipnych efektów instrumentacji, do zawrotnego tempa ruchu i zbanalizowanych rytmów jazzowych — odsłania pewną pustkę.

Seniorka pianistów polskich, prof. **Helena Ottawowa** wystąpiła w koncertach Związku Muzyków z własnym recitalem. Obszerny program obejmował szereg utworów Chopina, kompozycje Francka, Debussy'ego i in. Głęboka muzykalność i doskonały smak tej artystki, oraz świetna technika i pamięciowe opanowanie tak znacznego repertuaru, każą podziwiać mocną wolę artystyczną, której wiek w niczym nie osłabił.

Stefania Łobaczewska

Przed nagrodą Nobla

Jeszcze w roku bieżącym przyznane zostaną nagrody Nobla w dziedzinie sztuki i nauki. Jak wiadomo, terminy przyznawania nagród są regulaminem ściśle określone. I tak nagroda medycyny zostanie przyznana jeszcze w październiku, nagrody literatury, fizyki i chemii w drugiej połowie listopada, a nagroda pokoju przed 10 grudnia. Ogółem w roku bieżącym fundacja Nobla przyzna siedem nagród. Jest to pewnego rodzaju rekord, zważywszy, iż nagrody Nobla nie są nagrodami corocznymi. Wojna uniemożliwiła normalną pracę skandynawskim akademiom naukowym. Fronty zerwały intelektualną więź świata, a charakter tej wojny uniemożliwił w ogóle jakiekolwiek porozumienie w dziedzinie kultury. Przyznanie nagród przez fundację Nobla będzie więc miało symboliczne znaczenie: świat wszedł znów w erę pokoju.

Podstawy prawne fundacji Nobla przewidują, iż sumy niewypłacone na skutek nieprzyznania nagród powiększają kapitał fundacyjny, a tym samym wzrasta wartość pieniężna tego wysokiego odznaczenia. W roku bieżącym nagrody Nobla będą z tego powodu większe niż kiedykolwiek. Ogólny kapitał fundacji wynosi półtora miliona koron szwedzkich, a tym samym wysokość nagrody przekracza sumę 120 000 koron.

Świat kulturalny Europy śledzi z zainteresowaniem, jeśli nie przygotowania, które są niewidoczne, to symptomy uwidoczniające się w umysłowych środowiskach skandynawskich, najbardziej psychicznie i geograficznie wtajemniczonych. Ragnar Sohlman, dyrektor fundacji niepokojony jest przez dziennikarzy. Zainteresowanie budzi przyszły laureat literatury. R. Sohlman zachowuje całkowite milczenie co do zgłoszonych kandydatur. Tym niemniej symptomatyczny jest pośpiech wydawców, którzy od wiosny r. b. drukują szwedzkie przekłady książek niektórych pisarzy europejskich. Pojawiły się m. in. książki Mauriaka, Duhamela. Literacka nagroda Nobla sądząc po tych pozorach, może budzić pewne nadzieje także w Polsce. Ukazały się bowiem w lipcu w tej „pośpiesznej" serii wydawnictw dwie książki Zofii Kossak-Szczuckiej: „Król trędowaty" i „Bez oręża", książki, które na czytelniczym rynku anglosaskim zdobyły w czasie wojny wielkie powodzenie (800 000 egzemplarzy).

Lecz najbardziej pasjonuje przyszła nagroda pokoju. To, że będzie przyznana, jest niewątpliwe, lecz kto ją otrzyma? Robiąc przegląd jej dotychczasowych laureatów, paryskie czasopismo „Minerve" zauważa słusznie, iż nie przyczynili się oni do uratowania Europy przed katastrofą. Laureat nagrody pokoju po tej straszliwej wojnie nie powinien być człowiekiem pokroju swoich odznaczonych poprzedników. Świadomość tego nakłada na norweski parlament (który nagrodę przyznaje) obowiązek niemały: przemyślenia i wielkiej rozwagi. Bo przecież słuszne przyznanie nagrody pokoju może i winno ukazać opinii świata symbol ideologii gwarantującej trwałość ocalonej w tej wojnie kultury. Kto otrzyma nagrodę pokojową Nobla? Wśród rozlicznych niepewności jedno jest pewne: **Nie otrzymają jej ani Churchill, ani wynalazca bomby atomowej.** Chociażby z tego prostego powodu, wyjaśnia Regnar Sohlman, że kandydatury ich, jak również kandydatura prezesa międzynarodowego Czerwonego Krzyża Bernadotte'a nie zostały zgłoszone przed 1 lutego b. r., jak tego regulamin nagrody wymaga.

Z wystawy „Polonia"

Stanisław Borysowski: Z cyklu: „Wojna"

Nad obcą prasą

Czytelnicy gazet mają swoje stałe upodobania, których można nie pochwalać, ale które trudno wyplenić. Znaną jest rzeczą, że biorąc do ręki tygodnik, zaczynają czytać od ostatniej strony. Znaną też jest rzeczą, że w prasie codziennej szukają przede wszystkim drobnych wydarzeń, działających na wyobraźnię. Są ludzie, których ta lekkomyślność czytelników martwi. Rozmawiałem niedawno z pewnym surowym reformatorem prasy, który utrzymywał, że czas czytelnika jest drogi i że trzeba mu dawać tylko to, co rozwija go politycznie i moralnie. Jego skrajnym przeciwieństwem był przedwojenny fachowiec dziennikarstwa, który twierdził, że trzeba dawać wyłącznie opisy zamordowania córki burmistrza przez uderzenie tępym narzędziem, około północy, w pobliżu budki dróżnika.

Nie sądzę, aby którykolwiek z nich miał rację. Z tym drugim nie warto się spierać, bo jest to okaz zamierzchłej przeszłości. Surowemu reformatorowi odpowiedziałbym natomiast, że nie docenia tego potężnego pierwiastka ludzkiej natury, jakim jest ciekawość. Ciekawość szczegółu, ciekawość konkretnego, na surowo podanego wypadku, który można komentować osobiście, prywatnie i na własny rachunek, który daje, złudne czy też ugruntowane, przekonanie, że do pewnych wniosków dochodzi się samodzielnie, bez pomocy dbającego o rozwój moralny redaktora.

Łapczywość, z jaką ludzie rzucają się na pisma zagraniczne, które zaczynają już do nas docierać, da się wytłumaczyć przede wszystkim przez to pragnienie szczegółu. Wyznaję, że nie podniecały mnie artykuły wstępne w „Figaro", w których Mauriac wychwala Bluma za montowanie „bloku zachodniego" — co moim skromnym zdaniem niezbyt przyczyniłoby się do szczęśliwszej przyszłości świata. Natomiast z dużym zainteresowaniem przeczytałem opis wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie przez naocznego świadka, jezuitę, który znajdował się wtedy o dwa kilometry od centrum Hiroszimy. Dowiedziałem się, że moje wyobrażenie, jakoby po wybuchu bomby na miejscu miasta powstała wielka dziura o rozszerzających się brzegach — było błędne. Ulice zostały zrujnowane, niemniej ów jezuita wybrał się zaraz po bombardowaniu z noszami do miasta, dotarł do centrum i odnalazł tam czterech swoich kolegów, z których dwóch wyszło cało, a dwóch było rannych. Dowiedziałem się też, że roślinność nie rozpadła się na atomy i że spalona po wierzchu trawa szybko odrasta — co powinno stanowić znaczną pociechę dla miłośników botaniki.

Najdłużej jednak zatrzymałem się nad krótką wzmianką w „Paris Post", gazecie amerykańskiej, wychodzącej w Paryżu. Oto ta wzmianka: „Dzięki „Czerwonemu Krzyżowi" francuskie żony amerykańskich żołnierzy nie będą musiały jechać do U. S. A., nie znając amerykańskich zwyczajów. „Czerwony Krzyż" zawiadamia, że pierwsze spotkanie nowego „Klubu Oblubienic" dla francuskich żon, odbędzie się dzisiaj o godz. 20.30 w „Niebieskiej sali" itd.".

Dlaczego pierwszym odruchem po przeczytaniu tej ulotki był ironiczny uśmiech? Przyłapałem się na tym. A przecież to jest bardzo ładny pomysł. Czyż nie tak być powinno w każdym dobrze zorganizowanym społeczeństwie, że „Czerwony Krzyż", który ma za zadanie przychodzić z pomocą żołnierzom, przychodzi z pomocą również ich żonom, uczy je, wprowadza w nowe środowisko, zakładając „Kluby oblubienic"? Skąd więc ten grymas niechęci? Czyżbym odzwyczaił się od normalnych, humanitarnych i kulturalnych obyczajów ludzkości? Czyżbym odtąd już miał być tylko dzieckiem sześcioletniej wojny, podejrzliwym i nienawistnym człowiekiem, który ma za złe wszelką pogodę i beztroskę? Tak, na pewno nasze żądania są niesłuszne. Chcielibyśmy, aby cała ludzkość siadła z opuszczoną głową i rozpamiętywała okrucieństwa, przypominała sobie o wszystkich, którzy są nieszczęśliwi, udręczeni i głodni. A ona sobie tego nie życzy. A ona nie pragnie wiedzieć ani pamiętać. Jej dzieci wychowają się w rozkosznej niewiedzy — dzieci zrodzone z tych francuskich żon będą humanitarnym i kulturalnym pokoleniem.

A może jednak nie jest bez uzasadnienia ten nasz wewnętrzny skurcz niepokoju? Może jest jakiś związek pomiędzy beztroską i nieszczęściami świata? „Żołnierze amerykańscy chcą się żenić w Niemczech" — powiada tytuł w tymże „Paris Post". A poniżej: „Z głównej kwatery gen. Eisenhowera donoszą, że coraz większa ilość żołnierzy stara się na próżno o pozwolenie na zawarcie małżeństwa z niemieckimi dziewczętami. Oficerowie i szeregowcy piszą podania. Urzędnik departamentu opieki społecznej powiedział, że prawdopodobnie upłynie jeszcze rok, zanim takie śluby będą dozwolone przez dowództwo. Doradcy przy sztabie Eisenhowera badają już jednak zagadnienie co zrobić z dziećmi, urodzonymi z zabronionych prawnie romansów".

No i cóż? Zwyczajna ludzka sprawa. Nienormalna tylko dla narodów, w których za kontakt z Niemcem dziewczynie goliło się głowę i wyrzucało się ją poza obręb społeczności. Nie można jednak pochwalać stałej nienawiści pomiędzy narodami. Nie jest to humanitarnie. Wojna skończona. Hitleryzm obalony.

Ale czy o nienawiść tu chodzi? O szybkość, o beztroskę, o zatarcie śladów w pamięci. Tak. Raczej o to. Ci oficerowie i żołnierze niczego się nie dowiedzieli, nic nie przeniknęło do ich świadomości — noc cierpień Europy pozostawiła ich obojętnymi. Wezmą żony z hitlerjugend — wezmą niebieskookie i jasnowłose anioły, które odebrały takie samo przygotowanie, jak ich koleżanki mordujące z zimną krwią w Belsen i Oświęcimiu. I powstanie zapewne „Klub oblubienic" dla żon niemieckich — choć wątpić należy, czy zdoła on czegoś nauczyć te istoty, wyhodowane na ewangelii „Mein Kampfu".

Takie są rozważania, do których temat dają drobne wiadomości prasy zagranicznej — rozważania raczej niewesołe. To przykre, ale oddycham z ulgą, kiedy czytam wspomnienia z Oświęcimia we „Fraternité", czy reportaż z podróży do Dachau, odbytej przez reporterkę francuską. Bo Francuzi rozumieją i wiedzą. Komory gazowe w Brzezince są opisywane przez naocznych świadków, a reporterka przyznaje się, że patrzy na krajobraz niemiecki z obrzydzeniem, bo nie wie, czy bujność roślinności nie jest spowodowana przez użyźnianie ziemi popiołami pomordowanych.

A wiedza, mimo wszystko, jest lepsza niż beztroska.

Czesław Miłosz

Więzienia i wysiedlenia

Wydawnictwo materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944 pod redakcją dra Zygmunta Klukowskiego T. I. Terror niemiecki w Zamojszczyźnie 1939—1944. Zamość, 1945; str. VII i 1 nl. i 170 i 2 nl.

Zgodnie ze swą tradycją wydawniczą Zamość już zatroszczył się o zbieranie i publikację materiałów źródłowych do historii ostatniej wojny, tak krwawej dla Zamojszczyzny. „Z braku innych źródeł relacje, pamiętniki i fragmenty wspomnień stanowić będą pierwszorzędny materiał historyczny" — pisze z racją we wstępie dr Z. Klukowski, zapowiadając wydawnictwo regionalne, zakrojone na szeroką skalę.

W pierwszym tomie zawarto różnorodny materiał. Jest wspomnienie adiutanta 6 pułku strzelców podhalańskich z wrześniowych walk 1939 (pod Barchaczowem i Suchowolą) i z tego czasu fragment notatnika sanitariuszki polowego szpitala w Krasnobrodzie. Reszta książki dotyczy okresu okupacji. Piszą więźniowie gestapo w Zamościu, Biłgoraju, Lublinie i obozu w Majdanku i świadkowie akcji wysiedlenia i pacyfikacji w Zamojszczyźnie. Książkę zamykają wzruszające notatki poległego partyzanta.

Wspomnienia więzienne i obozowe, pomimo ciężkich przejść ich autorów, mężczyzn i kobiet, są utrzymane w tonie zrównoważonym, bez przesady w używaniu jaskrawych określeń i malowaniu spraw. Mimo to opisy bicia w katowniach gestapo trudno czytać. Wartość świadectw jest tym większa, ze spotyka się w nich dowody zrównoważonego obiektywizmu. Tym cięższą wagę mają opisy głodu, sadystycznie zadawanych cierpień i katowania. Nawet wrażliwsi policjanci niemieccy nie wytrzymywali tego. „Gdy ostatni (więzień) już odszedł, gestapowiec wstał z krzesła.

— My już mamy tego wszystkiego dość..."

Janina Dorantowa opowiada, że w więzieniu lubelskim na Zamku siedziała m. in. Stanisława Mikołajczykowa, wywieziona później do Oświęcimia, i Jewdokia Danilenko, synowa Stalina, która w szpitalu więziennym urodziła synka. Zabrana potem do Majdanka, wywieziona została w niewiadomym kierunku.

Z materiałów wynika dobra postawa moralna przeważającej części więźniów i w ogóle ludności. Podczas egzekucji w Potoczku 1 lutego 1944 — 30 skazańców zachowało do końca spokój. „O ile sobie przypominam, tylko z ust jednego padły słowa: Jezus, Maria!"

Brutalne rugi w Zamojszczyźnie odbywały się już w jesieni 1941 (około 1500 osób), lecz generalne wysiedlanie rozpoczęło się po planowym przygotowaniu i metodycznie — 28 listopada 1942 i trwało do Bożego Narodzenia. Wysiedlono wtedy około 70 wsi, za drutami znalazło się 15.000 ludzi, głównie starców i dzieci. W 1943 i później były pacyfikacje i wysiedlenia w powiatach zamojskim, biłgorajskim i hrubieszowskim. W samej Zamojszczyźnie wysiedlono również około 20 osad, w tym miasteczko Szczebrzeszyn. Los wysiedleńców był gorszy niż w 1942, w obozach w Zamościu i Zwierzyńcu znalazło się około 36 tysięcy ludzi.

„Część wywieziono na Majdanek lub do Niemiec, część zaś zwolniono. W Majdanku zmuszano do pracy szpiclowskiej na terenie Lubelszczyzny. Zgłaszających się do haniebnej pracy wypuszczano na wolność i kierowano na tereny, gdzie spodziewano się intensywniejszego ruchu organizacji polskiej oraz działalności polskiej i sowieckiej partyzantki. Niestety, pośród kilkudziesięciu czy nawet więcej tysięcy osadzonych w Majdanku lub na Zamku w Lublinie, znalazło się aż kilkaset jednostek, które za cenę własnego życia spodliły się i wydawały tysiące swych braci" (Jan Mirski).

Z oceną wyników gospodarczych, organizacyjno-wojskowych (dla działań armii podziemnej) i polityczno-moralnych akcji wysiedlania wypadnie poczekać do ogłoszenia większego materiału. Pacyfikacje znajdują odbicie w dwu wspomnieniach: z Wywłoczki, spalonej z końcem marca 1943 r. („w ogniu spaliła się broń, rwały się granaty i amunicja, przechowywane jak relikwie przez żołnierzy z myślą o tym momencie, kiedy przyjdzie rozkaz „do broni!") — i z Soch, gmina Terespol, z początkiem czerwca 1943 r., gdzie na 600 mieszkańców było z górą 400 zabitych i rannych. Tegoż dnia w Józefowie zdesperowana młodzież stawiła czoło oddziałowi Niemców, którzy dali tym razem za wygraną („Rzeczpospolita Józefowska"). Ale wkrótce przyszła retorsja na całą gminę. Aleksandrów był znów w rękach partyzantów.

„Gdy się przejeżdża przez wsie zniszczone podczas pacyfikacji i wysiedlania, wszędzie widzi się straszliwą pustkę. Tam, gdzie rok temu kwitło życie, dziś cisza, jakby wszystko wymarło. Z rzadka tylko spotyka się człowieka — dawniej uśmiechniętego, dzisiaj ponurego i mało mówiącego. W olbrzymiej wsi o długości 8 kilometrów, posiadającej 3500 mieszkańców — pustki".

W czerwcu 1943 wysiedlano Szczebrzeszyn, gdzie Niemcy tworzyli „Deutsche Landgemeinde Szczebrzeszyn, Kreis Zamość". Do gminy należało 31 wsi, w tym 18 polskich i 13 „deutsche Dörfer", wśród nich „Hauptdorf Szczebrzeszyn". Jak wiadomo, cały powiat zamojski miał zostać domeną SS, a sam Zamość nazywano już „Himmlerstadt". Do Szczebrzeszyna przyszli „czarni", przyjezdni Niemcy i rodzimi. Podług oficjalnych danych magistratu było jako Volks- i Stamm-Deutsche zapisanych 203 osób łącznie z dziećmi: „Parę setek stałych obywateli Szczebrzeszyna, Polaków pod pewnym naciskiem lub najzupełniej dobrowolnie zgłosiło swą przynależność do narodowości niemieckiej. Trudno uwierzyć ale to jest fakt niezbity, że kapitalna większość tych Volksdeutschów stała się nimi z własnej woli, bez przymusu ze strony Niemców. Są wśród nich byli wojskowi, nawet legioniści i peowiacy" (Z. Klukowski).

Bilans strat w budynkach w 15 gminach wynosiłby, wedle zestawienia inż. A. Klimka, 7448 budynków, w tym 2422 domów mieszkalnych, reszta stodoły, obory, stajnie, szopy.

Mania przebudowywania, właściwa Niemcom, dała w wyniku rozlicznych prac kilka nowocześniejszych domów i ciekawych odkryć (zabytkowa furta, freski i dawne palenisko). Jeden z niemieckich architektów inż. Brodauf odznaczał się wyjątkowo wyobraźnią polityczną. „Za każdą swą bytnością twierdził, że nic go Zamość nie obchodzi, bo i tak Niemcy dostaną lanie".

Zamieszczonym na końcu notatkom partyzanta wydawca niesłusznie odmawia charakteru historycznego źródła. W notatniku „szarego żołnierza, słabo orientującego się w ogólnej sytuacji wojskowej", znajdujemy nękające pytanie: „Nie rozumiem dlaczego dowództwo nasze nie przyjmuje walki z Niemcami w celu przebicia się przez linie niemieckie na drugą stronę". Nie sam jeden partyzant Bronisław Tyszka-Włóczęga tego nie rozumiał, a „szary żołnierz" i oficer politykę wyższych pięter wojskowych odsyłał do wszystkich diabłów i nazywał dosadnym żołnierskim językiem.

„Bolszewicy zaczęli się przedzierać w nocy. Podobno się przedarli". Nasi partyzanci też zapuścili się w lasy, lecz nie przedarli się. Po Tyszce został zetlały notatnik, który kończy się — żarliwą modlitwą.

Wydawnictwo zamojskie powinno wytrwać w pożytecznym przedsięwzięciu.

js

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62.
M—05431 Prenumerata miesięczna 21 zł, kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"